ARCYDZIEŁA POLSKICH I OBCYCH PISARZY.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

NOC LETNIA.
POKUSA.

OPRACOWAŁ
TADEUSZ PINI.

1905.

W BRODACH. ⊙ NAKŁADEM I DRUKIEM KSIĘGARNI FELIKSA WESTA.

Geneza.

Czasu napisania „Nocy letniej“ nie można oznaczyć zupełnie dokładnie. Autograf tego utworu, będący według wszelkiego prawdopodobieństwa pierwszą jego redakcyą, pisany jest na papierze, którego znak wodny nosi datę: 1837, stąd prosty wniosek, że przed tym rokiem poemat nie powstał. Ponieważ zaś w druku ukazała się „Noc letnia“ wraz z „Pokusą“ w r. 1841, więc musiała być napisana w obrębie tych dwu dat: 1837—1841, a mówiąc dokładniej: do r. 1840, kiedy napisana była przedmowa, wyprzedzająca zapewne na krótko oddanie rękopisu do druku. Natomiast cały szereg faktów świadczy o tem, że „Noc letnia“ powstała z samego początku oznaczonego w tem sposób okresu czasu. I tak wiemy z wiersza Krasińskiego do Adama Sołtana, że rękopis „długo“ u niego leżał—z notatki na autografie można wnioskować, że również dłuższy czas leżał (naturalnie przed ogłoszeniem go drukiem) u Delfiny Potockiej, nakoniec wiersz dedykacyjny, zwrócony do Joanny Bóbr-Piotrowickiej i aluzye do stosunku, który poetę z nią łączył, znajdujące się w poemacie—wszystko to świadczy, że „Noc letnia„ powstała w r. 1837 lub z początkiem r. 1838.

Powód do napisania „Nocy letniej“ dały poecie częste podówczas małżeństwa Polek, pochodzących ze znakomitych i majętnych rodzin, z cudzoziemcami. Krasiński cofnął się jednak pamięcią w lata dawniejsze i oparł się o głośny w całej Polsce fakt: małżeństwo księżniczki Stefanii Radziwiłłównej z Rosyaninem, Ks. Ludwikiem Sayn-Wittgensteinem. Slub ich odbył się w kwietniu r. 1828, a panna młoda przyniosła mężowi w posagu olbrzymie dobra, obejmujące przeszło milion hektarów ziemi, która w ten sposób na zawsze przeszła z rąk

polskich w rosyjskie. *). Zawarcie tego małżeństwa dało poecie tylko punkt oparcia, tylko motyw, na którym oparł fabułę zupełnie zmyśloną; wystarczy powiedzieć, że ani podczas uroczystości weselnej księżniczki Radziwiłłówny z Rosyaninem ani po niej nie zaszedł żaden krwawy czyn, że ojciec jej ks. Dominik, nie żył już wówczas od dawna itd. — i tylko kilka drobniejszych szczegółów pozwala się domyśleć, o kim myślał poeta. pisząc ten utwór.

Na tę zmyśloną fabułę opowiadania nie pozostały jednak bez pewnego wpływu osobiste stosunki i uczucia Krasińskiego. Do charakterystyki „starca“, który wiąże się z „królem południowym“ przeciwko własnym rodakom. niemało barw musiała dać poecie bolesna myśl o własnym ojcu, który podczas powstania listopadowego przebywał w Petersburgu, na dworze „króla północnego“—niektóre zaś myśli i sytuacye. nie mówiąc już o wierszu dedykacyjnym., odnoszą się do miłości Krasińskiego ku p. Joannie Bóbr- Piotrowickiej.

* * *

O „Pokusie“ mniej jeszcze wiemy, niż o „Nocy letniej“. Poemacik ten miał według świadectwa przyjaciela poety. Stanisława Małachowskiego, powstać w Wiedniu przy końcu 1837 lub z początkiem 1838 r. (a więc współcześnie z „Nocą letnią“) z powodu wyjazdu młodego, zaprzyjaźnionego z Krasińskim Adama Potockiego do Petersburga. Miała to być przyjacielska przestroga przed zgubnymi wpływami ułudnych słowek i blasku potęgi wrogów—przestroga, oparta w części na własnem doświadczeniu. Krasiński bowiem musiał w r. 1832 na rozkaz ojca udać się do Petersburga, aby się przedstawić nieubłaganemu wrogowi Polaków; carowi Mikołajowi I. musiał patrzeć na potęgę „jedynowładcy“ i słuchać jego ułudnych słów, z których każde „kroplą jadu padało mu na serce“. Uczucie. jakiego doznawał, wybierając się w tę smutną wstrętną dla niego podróż, przypomina dokładnie nie tylko cały nastrój. panujący w „Pokusie“, ale nawet jej myśl zasadniczą. „Ha, jakże ich nienawidzę, nie cierpię tych Moskali:— pisał do Gaszyńskiego dn. 17. marca 1832 r. — Pamiętaj

*) Por Dr. J. Kallenbacha: „Zygmunt Krasiński“ (1812-1838) t. II str, 391 i n. (t. VIII krytycznego wydania dzieł Z. Krasińskiego, Lwów. Księgarnia polska 1904).

plunąć na moją pamięć, jeśli kiedy usłyszysz, żem od nich co przyjął, żem któremu z nich rękę ścisnął lub ukłonił się...“ W tych słowach tkwi zarodek „Pokusy“, a gdy do tego uczucia wspomnienia osobiste dołączą obraz dworu petersburskiego i potężnego „jedynowładcy“ Rosyi, wrażenia z widoku stolicy nadnewskiej i jej mieszkańców — wtedy wyobraźnia poetycka z łatwością wysnuje z nich dzieje młodzieńca, który zapomniał o „matce po sześćkroć zabitej“ i „ręce ściskał“ wrogom jej, a za to spodlenie się z ręki przyjaciela otrzymuje karę i jedyne lekarstwo przeciw głębszemu jeszcze upadkowi—śmierć.

Myśl zasadnicza.

Nie przypadek to zrządził, że „Noc letnia“ wyszła razem z „Pokusą„ - utwory te bowiem połączone są ściśle ideą, uzupełniają się i dopełniają nawzajem. Treścią ich są losy ludzi, którzy zapominają o swej ojczyźnie i łączą się z jej wrogami—a w tragicznych dziejach tych postaci uwydatnia się wyraźnie myśl, którą poeta w nie wcielił — przestroga, dana współrodakom.

W „Nocy letniej“ widzimy potężnego magnata, który wchodzi w stosunki z „królem południowym“, wrogiem jego ojczyzny i córkę swą wydaje za „obcego księcia“, nienawidzącego jego plemię. Niegdyś był ten starzec innym: młodego swego siostrzeńca „pierwszy nauczył imienia ojczyzny“ i „serce jego pierwszy zapoznał z chucią bitew“ — niegdyś on zapewne sam marzył o walce z wrogiem ojczyzny i pogardzał zdrajcami. Ale starość zmieniła go zupełnie, kazała mu zapomnieć o kraju rodzinnym, a myśleć tylko o zaspokojeniu dumy rodowej. Syna los mu poskąpił, a dał tylko jedynaczkę —więc imię jego rodu, tak głośne i taką sławą okryte, miało zgasnąć z nim razem i stać się dla potomności tylko wspomnieniem dawnych czasów. Do tego nie chciał dopuścić, więc dla ratowania nazwiska swego poświęca wszystko: zapiera się dawnych przekonań, wchodzi w stosunki z wrogami ojczyzny i z pośród nich wybiera męża dla swej jedynaczki, młodzieńca niecierpianego przez nią, obojętnego dla niego

samego, a wybiera go dlatego jedynie, że on obiecuje przybrać jego nazwisko i przekazać je swym potomkom. Wszystko, co z tym planem stało w sprzeczności, ściąga teraz na siebie nienawiść dumnego starca. Tych rodaków, którzy prowadzili jeszcze z wrogami rozpaczliwą walkę. nazywa „buntownikami“ i z radością myśli o tem, że jego zięć pokona ich i wytępi do szczętu—na dowódcę zaś ich, wychowanego przez siebie siostrzeńca, rzuca przekleństwo i darzy go nieubłaganą nienawiścią, jako tylko człowiek znikczemniały może czuć ku szlachetnemu. Głównym powodem tej nienawiści jest wzajemna miłość obojga młodych, jego córki i siostrzeńca, bo uczucie to sprzeciwia się wykonaniu jego planów; więc starzec zabrania siostrzeńcowi bywać w zamku, córce nie pozwala nawet myśleć o towarzyszu zabaw dziecinnych—i sądzi, że przezwyciężył już wszystkie przeszkody. Ale właśnie z tego podeptanego uczucia zrodzi się najstraszniejsza dla niego kara, jego własna córka przeniesie śmierć nad związek z wrogiem ojczyzny i wyprosi ją sobie u tego, z którym duma ojcowska nie pozwoliła jej połączyć się przed ołtarzem.

Kara, która, jak grom, spada na starca wtedy właśnie, kiedy zdawało mu się, że już doszedł do upragnionego celu, jest straszna a bardzo sprawiedliwa, bo godzi w główny powód zbrodni. Duma była najważniejszą sprężyną jego działania; ona kazała mu szczęście ukochanej córki widzieć tylko w zaszczytach i blasku potęgi i po te zaszczyty iść do wroga ojczyzny —ona kazała mu nad ubogiego a szlachetnego rodaka przenieść obcego, znikczemniałego magnata z nienawistnego sobie plemienia i jemu powierzyć utrzymanie chwały rodzinnej. Tymczasem śmierć córki niszczy odrazu wszystkie te marzenia: chwała jego domu ginie na zawsze, „starożytny zamek cnego imienia“ dostaje się w ręce obce, starzec zaś sam odbiera sobie życie w obłąkaniu.

Podobnej winy dopuszcza się Młodzieniec w „Pokusie“. I jego popycha do przewinienia duma, tylko gdy stojący nad grobem starzec chce blaskiem, pożyczonym u wrogów ojczyzny, okryć swój starożytny ród, on pragnie tego blasku i tej potęgi dla siebie samego. Olśniony bogactwami i majestatem „Jedynowładcy“, który zagrabił jego ojczyznę, zapomina zwolna o swem pochodzeniu, osiada wśród wrogów, przybiera ich strój i obyczaje, a wreszcie pojmuje za żonę kobietę z ich plemienia i składa „Jedynowładcy“ przysięgę wierności.

Wtedy nawet wrogowie zaczynają gardzić zdrajcą, a jedynem lekarstwem, jedynem zbawieniem staje się dla niego śmierć, za pomocą której wierny przyjaciel wybawia go od męczarni sumienia i od głębszego może jeszcze upadku.

O zdradzie ojczyzny pisano u nas często, prawie zawsze jednak przedstawiano tylko fakt łączenia się z wrogiem przeciw ojczyźnie i to tylko piętnowano jako zbrodnię („Żywila" Mickiewicza, „Jan Bielecki" Słowackiego „Duma o Michale Glińskim" Niemcewicza, „Piotr Pszonka Jasieńczyk" Goszczyńskiego itd.)—Krasiński poszedł dalej. On piętnuje jako zbrodnię to, co my często rozgrzeszamy jako wynik słabości charakteru, co u nas bywało i bywa usprawiedliwiane tak błahymi powodami, jak stosunki materyalne itd. Wszelkie łączenie się z ciemięzcami ojczyzny, zapominanie o „matce po sześć kroć zabitej", wypieranie się tradycyi, obyczajów narodowych—to wszystko uważa Krasiński za zbrodnię. „Pamiętaj plunąć na moją pamięć, jeżeli któremu z nich (z Moskali) rękę uścisnę"— pisał poeta w przytoczonym powyżej liście; więc też bohaterowie jego wolą śmierć ponieść, niż hańbę takiego czynu na siebie ściągnąć, a śmierć tę uważają za wybawicielkę tak dobroczynną i tak świętą, że zadają ją nawet ze słowami modlitwy na ustach.

Wartość estetyczna.

„Noc letnia" i „Pokusa" należą do rodzaju powieści poetycznych i są pisane stylem kwiecistym, często przez romantyków używanym. Poeta nadał im formę jakiegoś niejasnego wspomnienia, jakby swego widzenia sennego [„widziałem kiedy ją wiedli..." („Noc letnia")—„I ujrzałem, jakoby w cudownem widzeniu...„(„Pokusa")], a stąd wynikły mgliste, niewyraźne zarysy opowiadania i wszelkie inne właściwości formy. Postaci są jakby niewykończone, podobniejsze do widziadeł sennych, niż do żywych ludzi' z wyjątkiem dokładnie i starannie nakreślonej postaci starca w „Nocy letniej". bo poeta pomija prawie zupełnie te rysy ich charakteru, które dla wyjaśnienia toku powieści nie są koniecznie potrzebne. Tego sposobu przedstawiania rzeczy używał Krasiński często

w swych utworach młodzieńczych, póżniej zaś jeszcze w „Trzech myślach Ligenzy“ i w „Śnie“, ustępie „Pierwszej części Nieboskiej Komedyi“ — miał więc w nim widocznie upodobanie. Upodobania tego można nie podzielać, można lubować się bardziej w innym, jaśniejszym i bardziej męskim sposobie przedstawiania rzeczy, ale trzeba przyznać, że w tym rodzaju, do którego należą, utwory te są wykończone bez zarzutu i że są bardzo piękne. Tę piękność formy potęguje jeszcze szlachetna tendencya, stawiająca miłość ojczyzny wysoko ponad wszystkie inne uczucia ludzkie i każąca składać jej w ofierze wszystkie pragnienia osobiste.

Bibliografia.

Juliusz Słowacki. „Noc letnia“, „Trzeci Maj“, Paryż, 1841, zeszyt z 29 kwietnia i „Dzieła“, wyd. H. Biegeleisena, t. III, str. 337-342.

Stanisław Tarnowski. „Zygmunt Krasiński“. Kraków, 1892, str. 320-340.

Józef Kallenbach. „Zygmunt Krasiński w epoce młodości (1812-1838)“ t. II str. 384-400 (ósmy tom krytycznego, zbiorowego wydania pism Z. Krasińskiego, Lwów, Księgarnia polska, 1901.

Jeżeli dotąd jedno dumne jeszcze
Bije gdzie serce na tej smętnej ziemi,
Za to samotne lub w walce z innemi,
Że się natchnęło w myśli święte, wieszcze,
Za to potwarzą ścigane dokoła,
Że nad sąd ludzi i praw ich zawiłość
Przeniosło swoją nienawiść lub miłość,
Nienawiść podłych — lub miłość anioła;
Jeśli to serce, co wiele kochało,
Jeśli to serce, co wiele cierpiało,
Dziś na kształt głazu ścierpło i zlodniało,
Lecz wrzkomo tylko, na zewnątrz, bo skrycie
Tli w jego wnętrzach nieśmiertelne życie
I żadna krzywda ludzka nie wyziębi
Skry, spadłej z niebios, co wre w jego głębi—
Jeśli to serce w samotnej żałobie
Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie,
Na świat spogląda nie mściwie nie hardo,
Lecz z przebaczenia anielską pogardą—
—Gdziekolwiek jesteś, o serce mi znane,
Serce niewieście i prześladowane,
Gdziekolwiek jesteś—z blizka czy z daleka,
O serce dumne, o serce stroskane,
Weź to, co przyjąć możesz od człowieka:
Weź pieśń—po pieśni poznasz we mnie brata;
Ta pieśń z innego—tak jak i ty—świata!

Za to, żeś, Siostro, w fałsz nie uwierzyła,
W bożyszcze złota i w miarę próżności,

Gdy świat ten zstąpił do grobu podłości,
Za to, żeś z światem w ten grób nie zstąpiła
O tej nikczemnej dziejów ludzkich dobie,
W świętem współczuciu i w świętej miłości
Tę pieśń mej duszy ja poświęcam Tobie!...

VARENNA, 1840, 15. sierpnia.

NOC LETNIA.

Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie!

Malczewski — Marya.

O, patrzcie na mnie, współziemianie, obywatele jednej ojczyzny, na mnie, idącą po ostatniej drodze—na mnie, ostatni raz patrzącą na światło Heliosa!—Drugi raz nigdy go już nie obaczę.—Śmierć, która w kolebce swojej wszystko usypia, wiedzie mnie żywą ku brzegom Acherontu — mnie żywą, mnie niepoślubioną, mnie, o której uszy nie odbiło się nigdy weselne pienie zaręczyn. — Acheron jeden tylko woła mnie do ślubu!

Sofokles — Antygona.

I.

Widziałem kiedy ją wiedli;—w białych szatach, z wieńcem na głowie szła w przerażeniu.—Kościół stał, jako ciemny cmentarz, przed jej oczyma. — Wszyscy się uśmiechali z radości, starzy i młodzi. — Dzieci, za aniołków przebrane, potrząsały kwiatami.—Sam biskup i powierne kapłany wesołym patrzyli wzrokiem, w sutych dalmatykach. — Lud się cisnął, zazdroszcząc i chwaląc i życząc. — Ona jedna tylko milczała, z spuszczonemi oczyma, oparta na ręku służebnic.

*
* *

I w jej kibici coś znękanego, bezsilnego było.—I w jej źrenicach niejasno przebijał promień duszy. — I z jej ust, nieco rozchylonych, trudno się domyśleć, wyjdzie-li modlitwa, czy skarga? - Idąc wzdłuż kaplic, podnosiła rękę i przeżegnać się chciała, pół krzyże tylko kreśliła w powietrzu; — przed obrazem Bogarodzicy skłoniwszy głowę, znać przyklęknąć miała, lecz sił jej nie stało i szła dalej ku wielkiemu ołtarzowi, a wielki ołtarz stał w głębi, podobny do grobu.

*
* *

Tam ojciec czekał na nią w kole krewnych i powinnych, z dumą w oku starem. — I słuszne miał prawo do pychy, bo cudniejszem dzieckiem nikomu Bóg nie opromienił schyłku życia.—Ona dotąd była jak najmilsza gwiazda nad jego zstępującą drogą; dziś tylko pierwszy raz w życiu zamglona — lecz on nie zważał na chwilowe zaćmienie, bo w tej dobijającej godzinie wszystkie jego marzenia dopełnić się miały. — Rzekł więc do otaczających: „Patrzcie, jak niewinna drży w niewiadomości szczęścia swego!“ - i sięgnął wzrokiem tak,

jak kościół długi, by ujrzeć, ażali nie przybywa pan młody. — Siwe brwi zmarszczył, nie dostrzegłszy go nigdzie.

*
* *

Ale wnet znów miał spokojne i pogodne czoło. — O! złudzenia starców, jak posągi ryte z głazu, pośród ich dusz stoją — chyba śmierć je rozłamie lecz nie strąci ich żadna przestroga na ziemi! Kto młody, ten malowne sny widzi w powietrzu. Tęcze nad nim się krzyżują i znikają, wiara na przemiany precz idzie w zwątpienie. — U bliższych grobu twardsza nadzieja i żądze przezwane rzeczywistości imieniem.— Między prawdą a niemi stanęła opoka doświadczenia—siedzą na niewzruszonej, a strumienie życia, morza fal grających, pędzą tymczasem i mijają w dole.

*
* *

Tam zwichnięte stery, poszarpane żagle, opadłe wieńce i serc spalonych popioły, wiecznym wichrem gnane, tłoczą się i giną w oddali! Tam gwiazd dżdże nieustanne z głuchym gasną szumem, a wszędzie modre szydzą piany i w nieskończoność garnie się rozbicie. — Lecz im nic do tego — sami wrośli w skałę i domy budują nad huczącą głębią; każda fala, co przelewa się w drugą, wydaje się im ołtarzem szczęścia i pokoju — potem córom i synom ludzkim każą ślubować na wierność przed niemi. — Ha, nim ci domówią przysięgi, już ołtarz pod drugim widnokręgiem płynie!

*
* *

Teraz oblubieniec wpadł do kościoła, rzeźki i hoży, z drużyną pysznie ubranych sam w narodowym stroju — lecz naród jego nie był starca narodem. — Tłum rozgina się na prawo i lewo, nizkiem witając go czołem; ledwo raczył niektórym się odkłonić i, dzwoniąc o marmury posuwistemi kroki, stanął przy narzeczonej, klęczącej już teraz. — Ona nie zdołała powstać. — Ojcu jej znikomie usta na ramieniu złożył potem rozmawiali przyciszonym głosem, starzec z królewską powagą, młodzieniec hasając rękoma. — Zwolna zbliżył się tymczasem biskup i zwolna zapalono gromnice na

oltarzu. — Wielkie w tej wielkiej świątyni stało się milczenie — na wieki rąk dwoje, dusz dwoje, połączyć się mają. Dreszcz uroczysty rozbiegł się po widzach.

* * *

O szyby różnobarwnych okien rozpłonił się promień zachodzącego słońca. Zdawało się przez chwilę, że tam krwi potok płynie i pluska, aż zniżył się i skonał wśród zmierzchu, lecz ostatnim blaskiem drasnął głowę człowieka, stojącego samotnie w przybocznej kaplicy — przy nim leży na pomniku posąg rycerza. On jak drugi posąg, niewzruszony, przykuł się wzrokiem do ołtarza, kędy biskup przemawia do oblubienicy. Co w jego duchu się dzieje, mrok na jego twarzy zaczaił — jednak, kiedy chwilowa łuna, co zgasła już teraz, przepływała po niej, każdy, co k'niemu zwrócone miał przypadkiem oczy, dostrzegł wyraz niesłychanej walki na tem czole wzniosłem — nikt jednak ni modlitwy, ni westchnienia nie usłyszał ni jęku. Wargi ścisnione i boleść, kształtem uśmiechu zakrzywiona na nich — to jedno błysnęło i znów utonęło w cieniu.

* * *

Lecz kiedy świętym obrzędom stało się zadość, kiedy pan młody podniósł żonę, a ona padła w ojca objęcia i ojciec ją niósł ku bramom kościoła i tysiąc gromnic szło za niemi i stopniami upływała ciżba i kroków odgłosy wolniały, oddalając się, i wreszcie pustkami stanął przybytek, spiący tylko umarli w nim zostali i kilku żywych umarłych krzątało się po jego głębiach, zakonników kilku — wyszedł ów człowiek z kaplicy i rozkiełznany, szybki, uderzył piersią o stopnie ołtarza zerwał się i padł na nowo, aż wreszcie siadł, lampą, pozostałą nad krzyżem srebrnym, blado oświecony; — nie ku obrazom świętych zwrócone jego oblicze, ale ku bramie, którędy wyszli oni wszyscy. — Tam błękitu nocnego kawał i jedna gwiazda miga. — On w nią patrzy i sztylet z pod płaszcza wyciąga — i, patrząc w gwiazdę, z pochwy klingę bierze — i, patrząc w gwiazdę. ostrzy ją na zgrzytającym kamieniu.

*
* *

Tak w śnie magnetycznym. z odkrytą zrzenicą, nic nie widząc. nic nie słysząc, chorzy stąpają śmiało w księżyca promieniach — potęga, której nie czują, stała się niemi — ona im ręce zbroczy krwią nieprzyjaciół. ona ich odejmie brzegom przepaści. — Namiętność w słońca promieniach czerpa żary swoje, lecz równie pewno niesie, równie dziko pędzi!

*
* *

I do owego człowieka zbliżył się mnich, przyklękając przed wielkim ołtarzem, potem rzekł: „Ktokolwiek jesteś. bracie, idź na spoczynek i nie mieszaj pokoju Pańskiego!“ Ale on mu nic nie odpowiedział. — Zatem szedł drugi i rzekł: „Precz z kościoła, bo świętokradcą jesteś!“ Ale on mu nic nie odpowiedział — aż trzeci przed nim stanął i zawołał: „Wyklinam ciebie i to żelazo, któregoś u stóp krzyża śmiał dobyć.“ —

A wtedy wstał winowajca i odparł: „Na te słowa czekałem, by cios stał się niechybny a rana śmiertelną“ — i wyszedł powoli, powoli, jakby liczył kroki własne, wiedząc, że ostatnie na ziemi.

*
* *

Tymczasem rozwiodła się po niebie noc tak przejrzysta i cicha, że każdy, co ją widział uczuł w piersiach dreszcz rozkoszy, w duszy szczęścia przeczucie. Jej cienia owionęły pola i gaje — jej gwiazdy weszły nad górami, jak duchów, w błękicie ukrytych, płonące zrzenice. Ziemia w przepasce z ciemności wonią kwiatów tylko i westchnieniem wód odwdzięcza się im wstydliwe za złote spojrzenia. Własnie takiej nocy trzeba dla tak świętych ślubów — od niej pocznie się długa wiosna obojgu szczęśliwym. Czegoż im więcej można życzyć na ziemi? On wzięty u króla, pan wielu służebnych, ona, śliczniejsza od aniołów, wniosła w dom męża ziemie obszerne posagiem. Matki nie znaleźć, którаby jej nie zazdrościła, młodzieńca‘ którуby mu nie złorzeczył; a ojciec stary

dopiął myśli swojej — odtąd mu dni płynąć będą wśród śmiechów córki i potęgi zięcia, a drobne wnuczęta, jak kwiaty, wyrosną mu na ścieżce przed grobem.

* *
*

Sute też na zamku wyprawił wesele — nie wielu książąt na takie mogłoby się zdobyć. Wysoko nad całą krainą beczki smolne i kagańce świecą z murów — na podwórcach tak jasno, jak we dnie, okna komnat otwarte, w komnatach sto harf gdy zabrzmi, trąby gdy zagrzmią, stóp tańcujących szum wzbija się i leci porwane koła kręcą się, plątają, szaleją. On sam obchodzi świetlice i zagrzewa gości. Łza w jego oku nabrzmiewa, łza, co z trudów życia wydobywszy się, pod koniec dziękuje Bogu za tyle dni, co szły w krwi i pocie, kiedy w tym ostatnim można o nich wszystkich zapomnieć. Wyszedł na przysionki i z ganku sypnął ludowi pełne miary srebra — wrócił i dyamenty przyszpila napotkanym dziewojom do łona. Giermki, co za nim idą, garbiąc się pod ciężarem bogatego sprzętu, podają mu na przemian szable i złote łańcuchy, strusie kity i tureckie handżary — on na pamiątkę tego dnia niemi gości darzy. — Czasem też stanie, weźmie z rąk pacholęcia spory kielich i usta małmazyą odwilży — potem idzie dalej, łaskawym ukłonem witając, łaskawym wzrokiem błogosławiąc wszystkim.

*
* *

Teraz wszedł do środkowych gmachów, do wybitej przez wszystkie piętra sali, kędy gaj przeniesionych krzewów ściany oplatał w dole, w górze zaś stropami złotemi, gzymsami z marmuru wiły się sklepienia i na nich herby ojców jaśniały nieskażone, święte. — Stanął u wejścia i pojrzał, szukając dziecka swego — ale jej nie ujrzał w śród krażących par ani odkrył w tłumie patrzących. — Pan młody tylko pląsał od jednych pań ku drugim naprzemian znikomym z tą i z ową połączony tańcem. — Po drugi raz w tym dniu ściągnęło się czoło szczęśliwego starca drgnieniem gniewu czy smutku — skinął na zgraję — rozstąpili się wszyscy — on poszedł wśród nich i kroczył ku pomarańczowym drzewom, kędy pustkami stały

w framugach siedzenia, lamowemi zasłane makaty, — Tam szukali córki chwil kilka jeszcze, aż zatrzymał się od razu, jakby nagłym uderzony bolem. — Siedziała ona z oczyma spuszczonemi ku wiązce róż, leżącej na kolanie, i odrywała ich listki, marząc o czem innym — wreszcie same ciernie w ręku się jej zostały.

* * *

Starzec cicho przystąpił i przewiódł na sobie, że łagodnym rzekł głosem: „Biedna matka twoja jakżeby dziś szczęśliwą była! — Za co Bóg nie dozwolił jej tego dnia doczekać?“ — Drżąc! podniosła głowę, drżąc, ścisnęła mimowolnie ostatki róż w dłoni, potem nazad w pomieszaniu przypiąć je chciała do sukni; przyczepiły się ostre gałązki do rąbka i sterczały, krwią jej palców zadraśniętych świeże. — „Czemu płaczesz zapytał starzec, jedynaczko moja? — Wspomnienie matki nie mogło do tyla cię wzruszyć, boś jej nie widziała nigdy; w dniu twego na świat przyjścia ona odeszła do ojców.—Ach, tyś się skaleczyła, córko!“ — I wziął jej dłonie i wyjmował z nich drobne ostrza kolców.— Ona mu odparła: „O, nie to mnie boli ojcze!“— potem zaraz dodała: „Owszem to, nie co innego, ojcze!“ — i zamilkła. Łzy jedne po drugich spadały z jej lica. — On oparł się na jej ramieniu: „Widzisz, jaki stary jestem, drżąc podemną kolana—prowadź mnie!“ i szedł z nią zamyślony, gotując się do mówienia, lecz słowa nie mówiąc. — Naokoło nich wszędzie wonniały kwiaty i muzyka brzmiała.

W tej chwili odezwał się zegar, przybity do górnego gzymsu — nad nim, kuty ze spiżu, siedział jedynowładca wielu królestw dawnych; za każdem uderzeniem wychodził ze ściany posąg jednego wojewody i szedł kłaniać się umarłemu panu, potem znikał, roztwierającym się pochłonięty murem. Przeszło ich dwunastu. Wtedy z odległych komnat zamku wzniósł się chór niewieścich głosów, zrazu jak szum błędny i nierozgarniony, ale coraz wyraźniejszy, z dalszych sklepień przysuwający się pod bliższe, wołający na oblubienicę. Ojciec sam wzdrygnął się w tej chwili, bladnącą córkę porwał w objęcia i uchodził z przejścia w przejście, z izby do izby, z ganku na ganek, wszędzie swatek ścigany chórem, wszędzie chcąc

przemówić, a nie mogąc słowa wypowiedzieć — i wszędzie naokoło woniáły kwiaty i muzyka brzmiała.

* * *

Wreszcie stanął w kaplicy zamkowej, kędy jego naddziady w kamiennych spoczywają trumnach.— Gromnic kilka nad niemi się pali i zewsząd czarne spływają obicia, bramowane srebrem. — Ona z rąk starca przypadkiem na grób ostatni najmłodszy, na grób własnej matki się stoczyła i siedzi, milczy, truchleje, — On rzekł do niej: „Bóg nie raczył po mieczu przeciągnąć mi rodu, kądziel tylko pobłogosławił w domu moim — lecz ten, który cię pojął, przysiągł imię nasze przybrać dzieci twoje zwać się będą, jak ojcowie moi — Szanuj szczęście, którem opatrzność cię uwieńczyła — pani równej tobie, pani tylu włości i skarbów, niema w całej ziemi naszej — pamiętaj więc być mężowi do śmierci posłuszną i wierną!“

* * *

Te słowa mówił głuchym głosem. — Zdawało się, że każdem z nich próbuje serce milczącej — lecz kiedy nic nie odpowiadała. kiedy tylko coraz niżej spuszczała skronie i wkońcu jej czoło utonęło w jej dłoniach i wieniec ślubny zśliznął się z włosów, on z jękiem zawołał: „Czy słyssysz? Nadchodzą cię oderwać od łona, na którem wzrosłaś.— Pożegnaj mnie, mówiąc, żeś szczęśliwa!“ — Lecz ona, cisnąc jeszcze mocniej ręce i kryjąc oczy, milczała. — „Dziecię, ty chcesz, bym się położył obok tych umarłych i nie wstał więcej! Dotąd w spojrzeniu ócz twoich błękitnych był mój spoczynek po burzach tylu—jedyną perłę moją oddałem w cudze ręce bom chciał, by nieznanym zajaśniała blaskiem. Co się dzieje tobie, dziecię? Przemów do mnie słowo jedno—raz jeden się odezwij, choćbyś miała się skarżyć lub wyrzec, żeś nieszczęśliwa!“

* * *

I z przerwanym oddechem oburącz wsparł się na grobowym marmurze, czekając odpowiedzi. Do połowy nóż tkwi

mu już w sercu — jeden jęk, jedna łza jedno jej wzdrygnienie może teraz to serce rozerwać. Ona, wzniósłszy oczy, zdała się śledzić wyrazu litości na ojcowskiem licu i zdała się przez chwilę wierzyć, iż jeszcze nie wszelka zniknęła otucha. — Zsunąwszy się, klęka na głazach, modli się słówmi i całą postawą do niego. — Dreszcz gwałtowny odrzucił starca od pomnika żony. — „Co za imię wyrzekłaś? — Nie powtarzaj go! — Możem nie słyszał dobrze — milcz: — Nie, ty nie mogłaś myśleć o wygnanym niewdzięczniku, co teraz z wrogami na mnie spiski knuje za to, żem mu świetne losy gotował w przyszłości, za to że był synem brata mojego! — A jeśli go żałujesz, jeśli kiedy miałaś nędzną nadzieję, że ci pozwolę buntownika widzieć lub rękę mu twoją oddać, ach! wraz z nim i ty bądź przeklęta!“

* * *

Podniosła się dziewica. — Ona dotąd cierpiała w milczeniu, jak smętna ofiara, niesiona na mściwych bogów ołtarze — teraz odparła zimno i stanowczo: „Kochałam go, ojcze“ — Starzec nie dotrzymał tym cichym. śmiertelnym wyrazom. — Zakręciło mu się w głowie i zniszczony, jak wszystkie nadzieje, którym ufał, padł u stóp grobowca; — przez chwilę duch jego wraz z duchami przodków spoczął w nicości, a kiedy się przebudził, ujrzał nad tobą twarz bladą córki i czuł jej uściski, wołające go nazad do życia i usłyszał zarazem tuż nad sobą brzmiące ślubnej pieśni zwrotki; próg kaplicy przechodziły szukające niewiasty i szły, śpiewając, i zwolna, śpiewając, otaczały oblubienicę śnieżnem kołem. — Za każdem słowem zbliżają się bardziej — ona chowa się pod ramionami jego.

* * *

Wreszcie objęły ją porwały i wloką, sypiąc kwiaty na podłogę, paląc kadzidła i nowym hymnem głosząc wschód jej nowego życia. — Starzec stąpa za chórem z daleka, leniwo — i, gdzie rozmijały się drogi, gdzie ją swatki unieść miały do ślubnej komnaty, stanął i nad zemdlałą znak błogosławieństwa ostatni raz kryśli — potem został sam jeden i ku salom

godowym zmierzać zaczyna; — stopniami odzyskuje przytomność, wolą duszy prawdę, jakby sen zwodliwy, rozgania, a rozkazując jej nie być, uwierzył może, iż nie było jej nigdy. — Kiedy wchodził między biesiadujących, znów władał sobą i spokojna powaga leżała mu na twarzy.

*
* *

Pan młody przemawiał do przyjaciół! „Wy, z którymi dni tyle przebyłem w obozach i na łowach, słuchajcie, drodzy, wam jeszcze i tę noc poświęcę! — Ślubuję nie spojrzeć na żonę moją, aż wejdzie pierwszy promień świtu. — Jak tam na niebie?“ Do okna skoczył jeden z towarzyszy i krzyknął: „Księżyc dopiero w samym środku nieba.“ — „A więc do was jeszcze i z wami!“ — zawołał młodzieniec i wychylił czarę i rzucił, oprawną złotem, sadzoną dyamentami; przez stół najbliższemu. — Ciężka dłoń starca w tej chwili na jego spoczęła ramieniu; — obejrzał się i chwytając na drugi puhar: „Zdrowie twoje, ojcze—rzekł—i, wy wszyscy spełnicie je ze mną!“ Ale pan zamku nie podziękował, jedno wskazał zięciowi otwarte podwoje i dalekie zakręty, któremi szły niewieście postaci, wracające w milczeniu i ginące w cieniach. — Młodzieniec odparł, potrząsając płowych pukle włosów: „Patrz na tych wesołych i mężnych, co mi po dziś dzień służyli tak wierne — przysięgą związałem się z niemi — do jutrzenki razem pić będziem i śpiewać! — Tę noc najpierwszą najmilszą poświęciłem im.“ — To mówiąc, porwał za dłonie obok stojących i krzyknął: „Za to podły buntowników motłoch ścigać będziecie w tych górach, póki mi rozkazów a wam ducha stanie.“ — Wszyscy odkrzyknęli chórem: „Niech żyje książe nasz!“ — Zrazu twarz starca pokryła się gniewu rumieńcem — ale te wyciągnięte ramiona, te dobyte do połowy miecze, ten zapał ich wszystkich myśli jego rozerwał — wspólna sprawa lepszą ich połowę zabrała. — Przyszłość i potęga, duma i nienawiść przesłoniły mu postać samotnej, płaczącej, opuszczonej — i sam dodał głosem, który niegdyś grzmiał pośród szczęku bitew: „Biada buntownikom!“

*
* *

Dłużej jednak z gośćmi pozostać nie raczy — ponuro skinął na giermków. — Oni przed nim z pochodniami stają.

— Młodzieniec na chwilę odbiegł swoich i teścia odprowadza aż do progów sali — teść go pożegnał zimnym zwrokiem wstrętu. — On wraca i woła: „Przez dobry kindżał mój, nie cierpię przymusu! — Świeżo-m pojął dziewoję, nie kajdany.— Smutny księżyc niechaj starym pannom zmarszczki srebrem krasi—mnia rumiane słońce wyda piękną żonę moją!“ — I nożem greckim rzucił w złoty gwóźdź przeciwległej ściany — trzydzieści nożów dobyli z pochew towarzysze - żaden celu nie utkwił tak blizko — zatem, nalawszy pełne czare, piją chwałę wodza. — On stał się piękny krasą próżności na licach — ręką rozwiera i głaszcze sobie włosy — żartami ściga towarzyszy, dowcipnie, ostro, brzecząc i kłojąc, jak osa. — Oni mu odpowiadają szumem poklasków.— W takowych chwilach, duszą na zewnątrz podany, zwykł on wdzięcznie się ślizgać po samej życia powierzchni — krew mu się z serca przenosi do twarzy — tam ona łudzi rumieńcem — rysy grają — oko płonie. lecz w sercu pusto, jak u zalotnicy.

II.

W pieśniach waszych, ludzie prości, zapamiętana dolina, w której raz ostatni wódz przemawiał do braci. — Ojcowie ją wasi odtąd nazywali „jarem pożegnania“ — i dzieci wasze ją tak zwać będą, jeśli pieśń przetrwa jeszcze jedno pokolenie, jeśli mowa wasza nie zgaśnie wraz z wami.

Wśród trzech wzgórzów łagodnej pochyłości, których stopy kąpają się w tym samym strumieniu, a czoła odeszły od siebie, powiewając gęstymi krzewy, stanął w miesięcznych promieniach człowiek. co przed godziną wyniósł klątwę z domu bożego. — Wokoło na piętrach zieloności leżały rozciągnione lub jeżyły się w dół nachylone postacie, czarne od stóp do gardła. blade na twarzach, migającą tu i ówdzie uiskrzone bronią. — Znać czekali nań ci wszyscy, bo jak się tylko ukazał, leżący powstaną. stosujący schodzą niżej ku brzegom ruczaju, a z każdego wzgórza podnosi się sztandar i pływać zaczyna w powietrzu. — Lecz żaden okrzyk się nie rozległ. — On sam dopiero, kiedy usiadł na głazie, obalonym wpoprzek strumienia, i głowę schylił i dłoń opuścił, między cieknące fale, on pierwszy przerwał milczenie. — Głos jego

szedł za szmerem wody, jak śpiew za wtórującą struną, a każde słowo, choć ciche, padało wyraźne na serca przytomnych.

* * *

„Na czas tylko byłem wodzem waszym. — Zapomnijcie o mnie, ale strzeżcie słów ostatnich, które powiem do was — w nich prawda. stara jak te skały, jak te gwiazdy święta!

„Od tysiąców lat ojcowie nasi posiedli tę ziemię — nie słychać, by kogo z niej wygnali lub ujarzmili na niej.— Jak kłosy niw, jak sosny borów, tak oni byli jej synami— a pod cień ich szabel postronne garnęły się ludy, bo czego ucho nie słyszało, oko nie dowidzi, ale dusza mężnych kocha, Wolność — była ich udziałem.

„Nadciągnął król południowy z służalców tłumami: — Zrazu zdradne sypnął uszom słowa, bardziej zdradzieckie sypiąc oczom skarby. — Różny od nas wiarą i mową, co Bóg rozdzielił, on to zespolić chciał, a gdy nie poszło mu po myśli teraz nituje nas z sobą ogniem i żelażem! — Hańba miastom i panom dolin!— W jaskinie gór, w jamy puszcz schronić się nie śmieli, poddali się najezdnikowi — lecz wyście do nich zeszli, jak do grobu. Za to przyjdzie zmartwychwstanie na was!

„I już sam wróżbę lepszej przyszłości widziałem. — Jenże od dwóch lat gród królewski spłonął? — Gdzie ciężkozbrojne najemniki, co nas zdeptać mieli? Wszak nad ich trupami słyszeliśmy w powietrzu dziękczynienia sępów i wilki noc całą skowyczały z radości! — Lecz, by odzyskać ojców spuściznę, długo wam trzeba jeszcze krwią ciała pracować!

„Teraz właśnie, gdyście z pokątnych tułaczy na groźne męże wyrośli, łudzić was zaczną królewscy różnemi ponęty— strzeżcie się kusicieli — obietnice ich, złote góry — ich dary, marne garści błota! Wznieście oczy — dość miejsca dla dusz waszych po tych błękitach zostało — nie żałujcie więc szarej ziemi, gdy przyjdzie w boju umierać! Lecz, kto broń złoży, temu niechaj na zawsze twarz Boga czarną będzie z tamtej strony grobu!

„Nie rozsypujcie się po równinie, by gonić za plonem!— Anioł stróż wasz mieszka w tych górach. — Dopiero później

przyjdzie pora łupów. Słuchajcie owych siedmiu, którzy mnie wodzem podstawili nad waszemi młodzieńcy! — Znękane siwym trudem ich prawice, ale rozum w nich króluje nad ciała gruzami. — Kiedy was zwołają, zbierzcie się co do jednego — kogo wam obiorą hetmanem, za tym idźcie w nieustraszonem milczeniu — i zwyciężajcie, jakoście zwyciężali ze mną! — Mnie inna dola porywa. Jutro moje już nie na ziemi. — Bracia, ja żegnam was na wieki!“

* * *

Umilkł i zerwał się, widząc, że księżyc już wysoko stoi.— Oni schodzą ku niemu, a wiją się chyżo, a ślizgają się cicho i zewsząd go czarnem obwiązują kołem — potem podszedłszy, bliżej staną i wołają: „Gdzie idziesz, wodzu nasz?“ On rękę wyciągnął ku łunie, co za wzgórzami blado płonęła. — „Stój . . . to ogień wesela; z zamku przodków twoich odbity na niebie! — My cię nie puścim do tych, którzy cię niecierpią, do tej, która cię zdradziła,“ — Na te słowa on skoczył z głazu, krzyk jego przebił piersi wszystkich przytomnych: „Kłamcy, ona mnie nie zdradziła, bo dziś jeszcze spać przy mnie będzie, spać będzie na wieki! — Poświęciłem wam dom i dostatki ojców, życie i szczęście z nią — ale śmierć z nią sobiem zachował. — Nadeszła ta chwila moja — puszczajcie mnie!“ — I przechodził wśród nich; pióra jego czapki wiatr niósł nazad, pukle ciemnych włosów i zwoje płaszcza nazad, ale on szedł naprzód i gdzie skinął dłonią tam stawało się pusto. Pomieszane wrzaski się wzniosły — jedni uklękli, drudzy pobiegli i znów w oddali murem przed nim stają — a wszyscy proszą, by się zatrzymał, obiecują porwać oblubienicę, świadcząc się Bogiem, że, choć w zamku dobór rycerskiego ludu, oni go zdobędą przed świtem. — On się zatrzymał — ucichli, głos jego się rozległ. wdzięczny, jak za dni dobrych lecz stanowczy, jak na polu bitwy: „Dzięki wam, bracia, ale starca, śpiącego w komnatach przodków moich, nie przebudzi szczęk szabel waszych. — Wzrosłem pod cieniem jego ręki.—On pierwszy usta moje nauczył imienia ojczyzny— on piewszy serce moje zapoznał z chucią bitew. — Nim zatkniecie na jego zamku sztandary te czarne, święte, moje własne wprzód mi umrzeć trzeba! — Taki los mój! — Raz

jeszcze: bądźcie mi zdrowi!“ — I odszedł kilka kroków i dodał, jakby już nie do drugich się odzywał, ale sam do siebie: „Co ksiądz zwiąże, tego człowiek nie rozwiąze — chyba przeciąć musi!“ I mimowolnie wzniósł sztylet w górę — klinga kąpała się w miesięcznych promieniach, jak nowonarodzony meteor, świetłana i czysta.

* * *

Oni patrzyli za nim, potem szli za nim w milczeniu opodał, z spuszczonemi głowy, bo widzieli, że, co on raz wyrzekł, to bez chyby się stanie. — Oddawna krążyły przepowiednie, rokujące mu zgubę. — On sam nieraz, ściskając dłonie towarzyszy, mówił, że nie daleki dzień rozstania. — A nie od miecza wrogów w pobliżu, ni od ich pocisku w oddali poledz miał, ani też zgasnąć z niemocy na chorobnej pościeli. — Inną mu śmierć sny, własne i cudze czary zwiastowały!— Pogrzebnie więc stąpali za nim spiskowi. — On już im wydawał się duchem! — Lecz kiedy zaczął wstępować na wzgórze, kiedy pióra jego czapki, z nad krzewów i skał powiewając, sunęły tu i ówdzie, przepadały i, znów bielejąc, wznosiły się wyżej, rzucili się w pogoń. — Tak on i oni, piętrami murawy przegrodzeni, ku temu samemu wierzchołkowi się darli. — On pierwszy go dopadł. — Stąd widna jeszcze lepiej łuna i zamku wieżyce, a tuż pod nogami przepaść, grzmiąca hukiem wód śniadych, i pień sosnowy, rzucony mostem ze wzgórza na wzgórze. — Nim zdołał nań wstąpić. znów go otoczyli. — Rzucili się, odepchnął najbliższych i dwoma skokami po chwiejącem się drzewie dorwał się przeciwnego wzgórza. - Spadł lekko, pochylił się gibko z olbrzymią siłą wyrywa pień z pod głazów, które go trzymają — wstrząsł go i puścił — pień, jak wahadło zniża się, przebiega przestrzeń i zawisa, ciężko tłukąc w skały, u tamtego brzegu. — Zdało się im. że błyskawica oczy im zaćmiła — przeszła teraz, lecz zapóźno — darmo krzyczą i wyciągają ręce — już on się od nich tym jarem przedzielił na zawsze. — Raz ostatni czoło jego, oświęcone miesiącem. widne w całej życia piękności. — Zdało się że chce pobłogosławić ludowi swojemu, bo trzymając zawieszone nad przepaścią dłonie: „W imię Boga, krzyknął, wieczny bój między wami a południowym królem!“

Naokół dziesięć opok ten głos powtórzyło i głąb jaru powtórzył go także — w tej chwili. sam wódz zniknął wśród krzewów. — Spiskowi przysłuchują się jeszcze, ale prócz szumu fal już nikt nie mówi do nich.

* * *

Nieszczęśliwy. teraz dopiero w oczach twoich błysła iskra szału! — Walczyleś z nią. dopókiś był pod jarzmem spojrzeń bratnich, nie chcąc im po sobie zostawić słabości wspomnienia. — lecz, jak tylko stało ci się wolno i samotnie, zrzuciłeś powagę, jak płaszcz na ciernie drogi. Lecisz, gnany zemstą — zawieszasz się na urwiskach — sadzisz przez rozłomy. — Przelękła sowa z krzaków się podnosi, plaśnie skrzydłami i dalej zagada — lis, czatujący w świetle księżyca, milczkiem sunie w ciemniejsze gęstwiny — wilki stanęły z obu stron wąwozu. — Jak strzała przeleciałeś, nie słysząc ich skowyczeń — one przed blaskiem ócz twoich przepadły do ziemi. — Ty już stajesz na równinie. — Ognik przyleciał z przysięgłych trzęsawisk — ześmiałeś się dziko: „Na wyścigi ze mną, przyjacielu!“ —on obwinął się naokoło czapki twojej i strugą sinego światła oblał ci piersi. — Oba równej lekkości i równie znikomi, w uścisku bratnim chwilę pędziliście razem. — Lecz on pierwszy zgasł — ty znów, cały czarny, przez łąki gonisz i zbliżasz się do zamku naddziadów.

* * *

A zamek na wzgórzu jaśnieje setnemi ogniami. — Ogrody, schodzące ku równinie, leżą tak przejrzysto, tak cicho. tak sennie, że zdają się marzyć o szczęściu oblubienicy — nad niemi płynie odgłos weselnej muzyki. — Lotna stopa wodza przylgnęła do murawy. — Zdało mu się, że usłyszał śpiewu początek — jego oddalone zwrotki były raczej snem niż jawem—ale w tej mgły dźwięków uchwycił wyraz głosów niewieścich. przypomniał sobie zwyczaj dnia ślubnego, podany od przodków — i lekszy jeszcze. niż przedtem, rzucił się ku ogrodom — oburącz wgryzł się paznogciami w szczeliny murów — oderwał się — zawisł — stopami na mchu się oparł — rękoma dorwał się bluszczów — i podbił się znów w górę i

mur przesadził. Głucho zaszeleściały przyduszone trawy. — On z potrójną siłą powstał, dotknąwszy się ziemi, i na znajome puszcza się manowce.

* * *

Dęby. klony, modrzewie, wielkiego boru ostatki, suną czarnemi rzędami. — Tu i ówdzie poziome gąszcze, winnice, łąki i pieśń słowika i ruczajów szmery, dalej wierzby płaczące i w dole cisza wód błękitnych, podbita gwiazdami. — On wiek młodociany przegrał przed temi drzewami, przepływał na tych wodach. — Lecz go nie zatrzymają teraz przeszłości wspomnienia — tylko w gaju rozkwitłych jaśminów, u stóp góry zamkowej, jęknął, przelatując koło głazu starożytnego. — Tu wśród nocy, podobnych dzisiejszej, wymykając się strażom, bjawiała się wygnanemu bratu dziewica — tu w jej oczach płonęła obietnica święta i pokój dotrzymań leżał na jej czole. — On goni dalej, a twarz odwraca za siwym kamieniem.

* * *

Wśród fontann i pomarańczowyzh drzew kryte sklepieniem wschody prowadzą do zamku — przez granitowe koronki ostrołuków padają na nie wzorem krat srebrnych promienie księżyca. — On równie pewny swego czy na wypukłościach światła, czy na ciemności wyłomach, pędzi, wspina się, coraz wyżej się podnosi — wreszcie stanął na równi z zamkowym krużgankiem. Tu pióra u czapki zerwał i wychylił z pod sklepienia głowę. Pusto wszędzie — z lewej strony słychać pieśni i wrzaski—poznał, że od nich grzmią ściany sali godowej—na prawo milczenie, na prawo długi rząd okień, od księżyca tylko roziskrzonych, lecz w końcu krużganka, tam gdzie się zaczyna baszta zachodnia, przez drzwi szklanne, rozwarte promień lampy się wymyka — i niby jęk czasem stamtąd się odzywa, ale taki nieujęty, gdy mimo przelatuje, że go raczej żądzą ducha uchwycić można, niż słuchem. — On go schwycił i wyskoczył z cieniów przejścia krytego, podobny zmartwychwstającym — i szedł, prosząc się kroków własnych, by milczały, szedł, opierając się o filary i poręcze,

wszystkiem ciałem podany naprzód. — Lecz nim doszedł rozemknionych podwoi. kiedy już widział zasłonę, co, z nad nich się wyrywając, śnieżnie w powietrzu igrała, kiedy uczuł, że za cieńką oponą śmierć i życie, powiązawszy dłonie. na niego czekają, stanął i położył rękę na sercu — bo mu się zdało, że serce z piersi wypada—palce spotkały się z zimnem żelazem sztyletu — ścisnął je i przystąpił z boku i przyłożył czoło do szyb drzwi gotyckich.— Dziwna, że nie pękło czoło!

* * *

Zrazu ujrzał tylko plamy czarne i skry ogniste, co mu się z głębi mózgu własnego sypnęły — potem rozwidniać się zaczęło stopniami.—To obicie lazurowe wystąpi i znów mgłą zajdzie — to błyśnie lampa srebrna i zniknie. — Ogromne zwierciadło o ramach złotych staje przed jego zwrokiem — naszyjniki, łańcuchy, manełe rozrzucone mignęły — przejrzał teraz — nic już nie drży, nic się nie krzyżuje. — Pod wiązaniem makat purpurowych na łożu siedzi oblubienica, sama jedna. — Znać chór swatek, odchodząc, poobrzucał ją kwiatami, bo pełno ich na jej włosach, na jej piersiach, a nogi, na kobiercu złożone, pod liściami róż toną.— Czasem westchnie-jak owi nieprzytomni sobie. co już nie myślą o doznanych bolach — czują je tylko — sami stali się bolem. Wtedy kwiat jakiś osuwa się z nad jej łona i pada na ziemię — a jako fijołki, mirty i lilie spływają po jej śnieżnej sukni, tak za każdem westchnieniem łzy płyną zwolna po jej białem licu.

Drzwi oddalone skrzypnęły — mimowolne odskoczyły jej ramiona — wyciągnęła szyję, jak łania, obudzona psów dopadających graniem. — Słucha, czeka, płonie. — I znów bliżej coś się ruszyło. — Zerwała się, uciekła w głąb komnaty, czepia się zasłon obicia, koło siebie je obwija i znów z pod nich się wymyka, bieży dalej, wreszcie padła na kolana, krzycząc: „Ty!“ — Na więcej sił jej nie stało w tem jednem słowie ostatnią nadzieją zamknęła i niewzruszoną na tem samem miejscu, w tej samej postawie zostało. — Nic już nie słychać — przepadły gdzieś kroki i głosy, co przed chwilą brzmiały. — Wtem nagle pękło milczenie. — Ten, którego wezwała, stanął przed nią i poderwał ją ziemi, lecz nie przycisnął do serca. rzekł tylko: „Jestem!“

* * *

Ożyła i dziwnym uśmiechem zakwitła: „Wiedziałam, wiedziałam, że mi się w wyrocznej godzinie ukażesz! Lecz ty może mnie przeklął w sercu? — Wiem — ach, słuchaj, bo oni się nie spieszą, nie nadchodzą jeszcze, słuchaj mnie! — Kiedy mnie wiedli do koscioła. szukałam cię wszędzie oczyma; kiedym klękła przed ołtarzem, szukałam cię myślą naokoło, bo oczy nie słyżyły, łzami na dół ciągnione—na zamku podczas tańców, kiedy mi wszyscy winszowali, słuchałam, czy twój głos ponad inne nie zagrzmi — i teraz jeszcze, kiedy każda chwila niosła mi konanie, a mogła zgubę przynieść, nie opuściła mnie wiara.—W odrętwieniu siedziałam, a duszy wzrok gonił za tobą po dalekich polach — czułam w sercu, że przebiegasz dolne ogrody — com czuła, ziściło się. Daj rękę, zbawiona jestem!“ I uginając się, jak wysmukła latorośl, śmiało oparła się na jego ramieniu.

*
* *

Kto widział we śnie duszę, wydartą piekłu, porwaną do nieba? Kto czuł, co być Bogiem na chwilę, gdy piorun szczęścia w sercu uderzy? Wódz dotąd szedł myśląc, że spotka się z niewierną — teraz, gdy ujrzał, gdy usłyszał kochającą, zapomniał o zemście i śmierci, pytężnym i nieśmiertelnym się staje. — Młodość jego dopiero dzisiaj się zaczyna — jednem jej skrzydłem miłość, drugiem będzie chwała.— Przez prochy ojców! on wróci do opuszczonych braci i za nim pójdzie ta, co, pewna ratunku. co, zwieszona na jego ramieniu, pasmo własnej przyszłości zdaje się oddawać mu w ręce. — Snujcie się, malowne chmury wyobraźni! — Piękne jesteście, bo was słońce życia ozłoca zachodom.

W gorączce, w omiamieniu zawołał głosem dźwięcznym, głosem uwodzeń: „Czemuś tę obrączkę włożyła? Czyż nie lepiej było wyzwolić się ucieczką do tych gór przed ślubem?— Lecz i teraz one cię zbawią, bo ja w nich panem!“

*
* *

„— Pytasz się o przeszłość, Boże! Boże! kiedy nam tak mało teraźniejszości zostało! Czy ty nie rozumiesz mnie? Czy ty wątpisz jeszcze o mnie? Wszak ci przysięgłam, że

lud twój będzie ludem moim, a Bóg twój Bogiem moim — dotrzymam! Lecz wprzódy trzeba mi było pożegnać się z ojcem — nie przerywaj — kiedy nie ufasz, słuchaj do końca— dobądź miecza tylko — gdyby nadeszli, rzucę się w twoje objęcia! — Ach, ojciec przyszedł i prosił i błagał! — Ty wiesz, jak twardym głosem rozkazować umie — lecz na mnie on rozkazów nie wywołał z piersi sędziwej, piorun przekleństwa łzami przesłonił i wzdychał i skarżył na jedyne dziecię, że go strąca do grobu. — Książę, zięć przyszły, obiecywał przybrać imię nasze, prowadził służebnych pod zamek i wołał na ojca: „Oto będą twoi!“ — Ojciec ukląkł przedemną i dłoń moją położył na siwych włosach — krew rozrywała mu skronie — widny był na jego czole konający sen życia całego, mara wielkości i panowania. wyciągająca ręce do mnie. Wtedy zdjęła mnie nieskończona siła: wyrzekłam słowo przystania oddałam rękę nieznanemu, obojętnemu, ach, niecierpianemu, bo u mnie niecierpiany każdy, kto twoich oczu niema, twym głosem nie mówi, szabli twej nie nosi i twoją myślą nie oddycha!— Miasto córki. pan tego zamku dostał syna — Tysiąc obcych rycerzy wsparło starą rodu naszego budowę.— Teraz odejść mogę — teraz ci powtarzam: lud twój ludem moim i Bóg twój Bogiem moim. — Lecz ten lud, Bóg ten, lecz ta wiara moja, wiesz-li, jak się dzisiaj zowie?“ — Młodzieniec, zaokrąglając ramiono koło jej kibici i patrząc w stronę krużganku: „Jak? Mów, jak?“ zawołał.—Ona wtedy odparła głosem wyrzutów: „Nie wątp, że śmiercią! — Dopókim na ziemi, dopótym żona innego człowieka — odzyskać mnie możesz tylko w świecie duchów. — Lecz ścieżka doń nie długa, patrz, takiej samej dłuży, co żelazo twoje!“

* * *

To słowo „żona“ spadło z jej ust, jak kamień na serce wodza i przebudziło go w śnie ostatnim, marzonym na ziemi. — Choć on ją mieczem przegrodzi od pogoni ojca i męża, on jej nie zasłoni od klątwy Kościoła, bo, co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże.— Ach, zimno i słabo stało się w duszy wodza. — Ta jedna chwila szczęścia, co już przeszła teraz, siłą mu wszystko odjęła.— Drży z bojaźni, jakby teraz dopiero ujrzał długą rękę śmierci, przytkniętą do serca kochanej. — Nie — on styletu na nią

podnieść nie zdoła — jutro, pojutrze on legnie w pierwszym lepszym boju — a ona niech żyje — najpiękniejsza postać wśród ziemskich niechaj zostanie na ziemi! — Jęknął i porywa się z miejsca — ściany łamią się przed jego wzrokiem i płaczą — on ucieka, lecz siostra doleci go u progu: „Co zamyślasz? Gdzie gonisz, niewierny? Albożeś nie przyszedł mnie wyzwolić jedno wykraść i zhańbić mnie chciałeś?“

*
* *

„O, nie zdradzaj — o, nie opuszczaj! — Za chwilę cudzoziemniec tu przyjdzie i skazi tchnieniem nieskażoną twoją — a jeśli objęciom wroga tu mnie sam wydasz, wiesz-li, jaka przyszłość? — On mnie zapędzi na dwór królewski, pomiędzy obce twarze i ułudy i pychy, by chlubić się z mojej urody, by pokazać panu swemu, że zerwał kwiat starożytnego szczepu! — A pan wtedy co pocznie? a sługa jego, mąż mój, co uczyni? — Patrz na starych! — Oni złorzeczą temu, co ubóstwiali za młodu, drogo cenią, czemu gardzili niegdyś — kto ich przetworzył?— Czas, uczuć morderca, czas, róż świeżych na dawnych gruzach przemierzły ogrodnik. — Może on i na moje oczy rzuci zasłonę, za którą zniknie twarz twoja. — Będę samą, sama jedna. — Ty daleko, po skałach, w jaskiniach—zewnątrz wszędzie, ponętą, nuda tylko w sercu mojem — i gdy ty się tułasz, rycerze królewscy może będą powtarzać imię moje przy puharach wina — może ich śmiechy kiedy dolecą twojego ucha i przeklniesz siebie, żeś mnie nie zabił. — Pchnij mnie w serce — wyrwij mniej potworowi!“ — I w obłąkaniu wyciągnęła ręce, jakby straszne widmo odepchnąć chciała „Patrz, na jego czole słowo „hańba“ sadzone dyamenty — w oczach piekło błyszczy, a miasto ramion dwie syczące żmije — one pełzną przez powietrze — dotknęły mnie — opasały, głowy zanurzyły mi w piersiach i z serca mego, jak z czary, krew moją czystą, krew moją świętą piją!“ Tu padła na kobierce, stopy mu oblewając łzami i długiemi warkoczy.

*
* *

Jak piórko ją podniósł: „Przez imię Bogarodzicy, nie dopełni się ziemskie przeznaczenie twoje. — Czysta wśród

najczystszych, ty przeminiesz, jak płomień kadzideł!“ — Tu znać pękło mu serce, bo rysy męskiego oblicza poszły w rozsypkę i skłonił głowę i do każdej łzy jej równie gorżką, równie niewstrzymaną przylał. — Lecz to był ostatni znak słabości czy wahania, walki czy zalu w nim. — Blada spokojność osiadła na jego twarzy—i przycisnął dziewicę do piersi: „Tym pocałunkiem skazuję cię na śmierć — kto pierwszy dotknął liców twoich, a imienia nie zdołał ci wraz z tchnieniem ust przelać, z tego ręki zginiesz! — Nie w innej myśli szedłem, siostro, do ciebie — ale, kiedym cię ujrzał, pokusa szczęścia mnie uwiodła. — Daruj! Potem, gdym osłabł wśród marzeń, strach słabego ogarnął — przebacz mi! Teraz pokusa i strach odeszły na zawsze — teraz módlmy się — bo razem stąd odlecieć musiemy!“

*
* *

„Nie!... ty zostań, by przewodzić ludowi twojemu! — Ja w czyscu czekać będę na ciebie cierpliwa i tęskna. — Rzucaj tylko czasem tam, kędy mnie pochowają, pióro z hełmu lub pierścień z kolczugi! — Grabarz spostrzeże się z rana i powie: Ktoś był tu w nocy, jeszcze ktoś pamięta o niej!“ — I natężonym wzrokiem jaskrawo wglądała mu w oczy. — On jej przerwał żelaznym dłoni uściskiem: „Duszą własną duszę twoją przed sąd Boga zawiodę!“ — i dodał żałobniej: „Czem mogłem, póki mogłem, służyłem ludowi mojemu. — Sztandar jego zatknąłem na granicach zamków. — Teraz on przekroczy te granice. — Gdybym dniem jednym dłużej przeżył, wiesz-li, czyjebym włosy białe musiał rowiać wichrem burzy? — na czyich podwórcach zasiąść jako sędzia i niszczyciel? — O, idźmy stąd razem, siostro — tam, kędy idziemy, przeciw starcom nie walczą młodzieńcy, tam niemasz zdrady i ucisku — tam i zemsty niemasz!“

*
* *

Boskie uniesienie twarz jej owiało i rzuciła się w wodza objęcia — ni słówmi, ni łzami już dziękować nie zdoła, ale zdziera z palca złotą obrączkę wroga, idzie ku ślubnym wezgłowiom, na jednem z nich ją składa, potem odwróci się

ku wodzowi: „Teraz tyś pan i mąż mój na wieki!“—i, spuszczając oczy, wnet uklękła i modlić się zaczyna modłami umierających.— On ukląkł także — czasem wtórował jej słowom, czasem milczał w ponurej powadze. — W tej chwili obudzonych ptasząt głosy odezwały się z okolicznych gajów. —Ona zbladła. — „Oprzyj się na mojem ramieniu — spojrzeć na świat choć ze mną!“ Poszła za nim i stanęli oboje na progach krużganku.

* * *

Księżyc gdzieś za wzgórzem zamkowym kona — śniado błądzą jego ostatnie promienie po dolnych ogrodach — w powietrzu snują się wyziewy, niby płaszcze królewskie, niby dziewic zasłony, przetkane jutrzenki czerwienią. — Wszystkie obrazy i obietnice życia raz jeszcze w tej przedostatniej chwili stanęły przed ich oczyma — w pobliżu zaraz szmer i błysk fortann, wdzięczne kształty filarów, kwieciem umajone krzewy. — Dalej na wzgórzu bielejąca ścieżka ucieczki i las gęsty w dole — za lasem już otwarte pola — a dalej jeszcze w odbłyskach zorzy wolnych wierzchołki gór. Z pośród ich szczytów wejść miała dla bohatyra kiedyś gwiazda chwały, a teraz cały ten widnokrąg będzie mu tylko zapomnienia grobem. On wlepił wzrok w góry, a śmiało żegna się z niemi — ona schyloną głową ciśnie się k'niemu, wzywając czy prędszego zgonu, czy spojrzenia miłości. — Darmo świat, budząc się coraz żywiej, coraz im głośnej radził, by czasu nie porzucali dla wieczności—nikt nie wie, co w ich duszach się działo. — Ona coraz bardziej ciężała na ramieniu brata, a z włosami jej ranny powiew igrał.

* * *

Wtem głosy rozhuzdane wzniosły zdrowie czyjeś w oddalonej sali. — On się wzdrygnął — ona może już nie słyszy —potem sypnęły się na krużganek gęstych stóp hałasy i z ukosa błysnęły pochodnie.— „Boże, zawołał, wszak dasz braciom moim zwycięstwo!“ — i uniósł zdrętwiałą w wnętrza ślubnej komnaty! — Po murach zamku odbite, wzorem piłek skaczą wiwaty podchmielonej zgrai— Znać pan młody spieszy

do żony z pierwszym dnia promieniem. — „Czy widzisz, krzyknęła. wyciągając ręce ku zwierciadłu, nie poznając już siebie samej, jaki piękny anioł mój!“ — „Ah, piękny!“ powtórzył wódz z głuchym jękiem i upadającą przycisnął do piersi, w drugiej ręce wzniósł śmiertelne żelazo. — W tej chwili odgłos szybkich, lekkomyślnych kroków dochodził drzwi krużganku.

III.

W komnacie, w której ojciec mieszkał, kędy dziad i pradziad mieszkali i umarli, siedział starzec na starożytnem ich łożu. —Ani raczył przysporzyć wygody sędziwemu ciału, szat nie zwlókł, sługi gniewem odepchnął słowem, jedno łańcuch z medalem królewskim zrzucił z szyi, jedno szablę odpasał i oparł o stół dębowy,—Za łożem kaplica, wydrążona w ścianie, z ołtarzem i szczerozłotą lampą. — On nie odwraca się ku niej, by zmówić, jak co dnia, pacierz przed zaśnięciem.— On wie, że nie zaśnie dzisiaj. Czasem tylko, oczy wzniósłszy, patrzy na przodków obrazy, niewzruszonemi źrenicami patrzące na niego, a gdy obieży ich koło, znów wzrok smętnie spuszcza na dół.

* * *

Wiecie-li, młodzieńcy, wy syny światła, kusiciele burzy, co się dzieje z duszą starców, gdy prysną ich rachuby, ostatnie ich miłości na ziemi?—O, nie, nigdy wam los tak gorzkiej nie podał trucizny.— Czas, jak niewolnik, niesie was na skrzydłach i przestrzeń skrzydłami rozrzyna—choć sto gwiazd zagaśnie z tyłu, sto innych przed nim zapala się dalej. — „Naprzód w nieskończoność!“ oto hasło wasze. — Lecz oni pozbawieni jutra — już im trumna w poprzek progów leży, a jedna tylko gwiazda tleje na źrenicy. — Oni modlą się do niej: „Tyś słodka i poczciwa — nie uciekasz, jak księżyc w jeziorach młodości, ni pękasz, jak meteor ciepłych nocy letnich — po długiej drodze dopierośmy twoje dobre światło ujrzeli — o, bądź nam wierną, o, świeć nad domem naszym, byśmy jeszcze żyć mogli na ziemi.“ — Wtem prawda zstąpi

w ich dziedzińce, przesunie się. jak wąż ślizka, naga wśród zamkowych murów i dojdzie progu i siądzie na trumnie, wyrok zawodu śpiewając — na głos jej ostatni promień obrywa się z niebos i „noc wieczna“ staje się na imie światu.

* * *

Patrzcie! Z babiego lata jednej śnieżnej pajęczyny nie zostało w ręku starca.—Czy słyszycie, jak łzy córki zaczęły padać mu na duszę zarzewiem? jak śmiech księcia, jej męża, brzmi przeciągle w jego uchu? Zerwał się z łoża i kroczy gwałtownemi kroki.— Darmo siedemdziesiąt zim przeciągnęło mu nad głową; on dumny dotąd, on nie odgadł tajemnicy życia! — Odmęt zgrozy, zemsty, wahań, postanowień wplótł mu serce na koło męki.—Króla i zięcia i siebie przeklina — lecz nie pęknie serce, zanim wejdzie pierwszy promień słońca.

* * *

Wreszcie styrane ciało padło na krzesło o złoconych poręczach i herbach. — Zniżyły się ramiona, opuściły nogi— oko odsłonione, martwe wlepiło się w przeciwległą, ścianę — Choć nie rusza ustami, wciąż mu się zdaje. że własny głos słyszy — choć leży w odrętwieniu. wciąż mu się zdaje, że zamku przebiega komnaty, aż stanie w sali godowej i znów ujrzy młodzieńca, siedzącego wśród zgrai. — „Precz mi stąd, książe, przybyły z obcej ziemicy!—Przodki moje, powstańcie z grobów, otoczcie go rzędem! Czarny hetmanie, wytrąć mu puhar z dłoni, ty, kardynale rzymski, wymów nad nim klątwę rozwodu!“—I słychać szelesty stóp umarłych, ciągnące od zamkowej kaplicy.---Rozwarły się na oścież ogromne podwoje —wchodzą wywołani. — Pan młody porywa się do szabli, a drugą ręką pije do umarłych. — Wtedy sam starzec szuka miecza, rzuca się ku mieczowi oddalonemu, wiszącemu na ścianie — prosi się Boga, by prędzej do miecza się dostać-— na klęczkach się wlecze i pada i znów się wlecze, aż spotka kardynała w purpurze, zblakłej od wilgoci podziemiów.—Ten mu rękę zimną przyłoży do czoła i rzecze: „Co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże na ziemi“. — I zniknęły cienie — i rozwiała się sala biesiad — i znów on się widzi

w własnej sypialni, na tem samem krześle. — Głucho, pusto, straszno. — W tej chwili druga uderzyła na zegarze wojewodów.

* * *

Straszno, coraz straszniej! Z kaplicy za łożem zielonawy odbłysk rzuciła lampa. — Przebóg! postać biała klęczy i jęczy na stopniach ołtarza — potem się odwróci i sunie ku starcowi; ręce jej w krzyż złożone na piersiach, suknia, jak szaty posągów, w tysiąc fałdów się łamie, ale się nie rusza. —Twarz znana, kochana kiedyś, twarz to żony nieboszczki. —Usta rozemknęły się na nowo, lecz głos nie, jak dawniej rzewny i potulny, owszem rozkazujący i pełen wyrzutów. — On chciał jej odpowiedzieć, a nie mógł ręki wyciągnąć, jedno musiał iść po ciemnych zamku przejściach, tam, dokąd go wiodła;— koło kaplicy, koło grobu własnego nie zatrzymała się, szła przez zbrojownię wśród pancerzy i hełmów szła coraz dalej, aż do baszty zachodniej — wstąpiła na wschody drzwi zaryglowane się przed nią jak dwoje cichych ust, rozwarły — pociągnęła starca skinieniem.—On poznał skarbiec i w ścianie strzelnicę, wydrążoną nad ślubną pań zamku komnatą. — Tam mu umarła wskazuje, by stanął i patrzał.

* * *

Przebóg! przed łożem ślubnem, naprzeciwko zwierciadła ujrzał córkę w objęciach zbrojnego męża—poznał płomienne oczy i wyniosłe czoło wygnańca—dostrzegł nagi sztylet w jego ręku—usłyszał głos, brzmiący, jak dźwięk szklannej harmoniki: „Uderzaj śmiało, bo nie ty mnie zabijesz, ojciec już mnie wprzódy zabił!“ I postać niewieścia, to mówiąc, garnęła się pod żelazo rycerza.—Starzec wszystkie siły do krzyku natężył, lecz nie przerwał milczenia. — Dłoniami strzelnicę rozerwać usiłuje — zimny granit się ruszył—więc zdało mu się, że padł na kolana, że wołał do synowca: „Dam ci ją za żonę, będę walczył z tobą przeciw królowi, tylko mi jedynego dziecka nie zabijaj!“—to znowu, że prosi się córki: „Dziecię, dziecię, zlituj się, on będzie mężem twoim, tylko nie chciej umierać!“ — Lecz oni go nie usłyszeli. — Sinem

światłem oblały się ściany, lampy gasnąć zaczynają — wtem gwar słychać na krużganku. — Pan młody, podchmielony i skoczny. wpada do komnaty — przyrósł do kobierca — sięnął ręką do boku — nie znalazł miecza, ogląda się, woła, lecz nikt nie poszedł za nim. —Strach nakształt żywej śmierci starca ogarnął. — Pan młody rzuca się na wygnańca. — Ten go odepchnął daleko, gdzieś aż pod same okno, pytając: „Czego mieszasz spokój umarłych?“ — I coś błysnęło w powietrzu raz i drugi i trzeci.— Słaby krzyk wzleciał i uleciał -- gasną lampy jedne po drngich -- ostatnia nad zwierciadłem jeszcze się pali — w jej płomieniach postać zbrojnego męża i postać dziewicy, krwią zbroczone, gmatwają się, rosną, wreszcie upadły. — W tej samej chwili trzecia uderzyła na zegarze wojewodów i znowu ocknął się starzec w własnej sypialni, u stóp własnego krzesła.

*
* *

Dokoła cisną się sługi i giermki z świecznikami—łoskot słyszeli, przybiegli, zastali go leżącym na kamiennej posadzce z skaleczonemi rękoma. — On się zrywa i znowu biada, wołając: „Ratujcie dziewkę moją– zamordujcie syna brata mego!„ — Oni go w pół biorą, dźwigają. — Czy noc jeszcze, czy to dzień już? Gdzie jestem?“ i zatoczył się ku szabli, opartej na stole dębowym; dobył ją, rękojeść przewinęła mu się w ręku, ostrze spadło na ziemię i wlecze się za nim. — Grube łzy z powiek mu pociekły. — Oni klękają przed nim, proszą o jaśniejsze rozkazy. — „Za mną, tylko za mną!“ odpowiedział przerwanym głosem i, wpół niesiony przez nich, kwapi się ku drzwiom, wychodzi na korytarze, spieszy się, pasując się z niemocą jak pływacz z falami. — Sługi, spoglądając jeden na drugiego, żegnają się świętym znakiem krzyża.

*
* *

Tak za jęczącym, za mdlejącym, za obłąkanym ciągnęła drużyna w stronę ślubnej komnaty· — Sen, zdaje się, głęboki spoczywa na tej części zamku— przez rząd bocznych podwoi widać z daleka w sali biesiad porzucone stoły i dogasające

światła.—Już też przez okna przejściów wkradają się przedsłoneczne świty.—Wtem nagle zatrzymały się pacholęta, niosący przed panem pochodnie. — Z zakrętu ciemnej galeryi człowiek pędzi im na przełaj—włosy jego rozczochrane, szata rozdarta, ni sztyletu w pasie, ni miecza u boku, i sine usta i śniade czoło, jakby śmierć nań wionęła, przechodząc, a on przed nią dotąd uciekał.—„Nie puszczajcie ojca na krok jeden dalej!“ i dopadł starca i uchwycił go za ręce. —„Gdzie żona twoja?“—Pan młody padł na kolana: „Poczekaj, ojcze, wróć do twojej komnaty, tak rano śpiącej córki nie budź!“— „A więc mówisz: nie budź jej, a więc ona się przebudzi jeszcze? — Mów prawdę, człowiecze, bo zły duch mnie nawiedził snem strasznym —Widziałem, ją wołającą śmierci — a ty bezbronny, tak jak teraz, byłeś — i trzeci tam stał, który dziecię moje zamordował.—Powiedz, wszak to wszystko marnym żartem nocy, naigrawającej się z biednego ojca?“—Schylił głowę pan młody pod nieznośnym ciężarem tego pytania, drży całem ciałem, a wzniesionemi rękoma opiera się starcowi. — „Milczysz? ha! Bóg mnie skarał, żem się pokłonił królowi twojemi i szukał związków z obmierzłą krwią twoją, cudzoziemcze! — Teraz ja sam jeden zostałem na ziemi!“ Zadrżały na ten krzyk starca wszystkie serca przytomnych.— On chwycił miecz oburącz: „Milczysz? Ojcowie moi byli wrogami twoich—gdybym miał syna, byłby twoim wrogiem—córkę-m jedynaczkę miał tylko — bierz ten spadek po niej!“ — I spuścił miecz, ale żelazo wyrwało mu się z dłoni i roztrąca się o przyległe filary — na ten szczęk zerwał się pan młody i jeszcze starca wstrzymać usiłuje.—Pasują się oba, z podziwu i przerażenia nie podobni sobie samym, dzikich zwierząt wzorem. — Ale rozpacz sędziwe ramiona w żelazne kleszcze na chwile przekuła—Pan młody, choć tancersko gibki, już dźwiga na barkach dłonie przeciwnika, już gnie się we dwoje. — Starzec mdlejącego do reszty obalił i przekroczył przez rozciągnione ciało. — Teraz on już cudzej nie zażąda pomocy. Sam stąpa dalej, paląc się wzrokiem, olbrzymim cieniem łamiąc się na ścianach, w rozwianych szatach, z okropną śmiałością.— Słudzy garną się za nim, sklepienie odjękuje odgłosowi ich kroków.—Już ich tylko jedna świetlica dzieli od komory pań zamku—na drugim jej końcu widać na wścież rozwarte podwoje, za niemi część kobierców i ścian ślubnej sypialni i okno od krużganku, rozognione promieniami wschodu.

—Zresztą pusto. głucho; słychać tylko szmer bliskich wodotrysków. — Starzec prosto śpieszy ku drzwiom onym i ku wschodzącemu słońcu.

* * *

A kiedy stawał na progu, ogromna, rumiana twarz słońca wlepiła mu się w oczy. — Zdało mu się, że widzi krwawe serce Boga w przestrzeniach. — Olsnął na chwilę, idzie dalej omackiem, aż tu znów ujrzał krew czerwoną na ziemi. — Wszystkie mary snu strasznego otoczyły go napowrót w jawu promieniach. Tak, jak widział, że upadli. tuż przed nim rozciągnione leżą ciała córki i synowca.—Wzniósł ręce w górę wzorem tonących i bił niemi marne powietrze, jakby usiłował się wydobyć z tego piekła widziadeł — potem niewzruszony pozostał na miejscu. — Tymczasem tłoczą się zewsząd do komnaty przebudzeni goście, służebni, lennicy, a każdy u wnijścia struchleje i w słup się obróci. — Wszystkich oczy skierowane na odwróconego pana i na zwłoki przebitych. — Oboje leżą u stóp ślubnej łożnicy. — Ramie wygnańca dotąd szyję siostry otula, jej głowa spoczywa na jego kolczudze, powyżej sztyletu, co tkwi mu w piersiach—nikt nie przywarł im powiek— w świetle coraz bielszem słońca szklnią się ich źrenice, a krew wszędzie naokoło, i na pancerzu wodza i na piersiach oblubienicy ścina się już w czarniawe korale — nad tą krwią stygnącą twarze ich, oblane śniadym pokojem.—Jakby wspomnienie uśmiechu przystygło do ust dziewicy, niby cień dumy ociąga się jeszcze na czole rycerza. — Znać męka śmierci lekka im była wśród zachwytu ducha.

* * *

Starzec jak stanął, tak stoi dotąd — nie jęknął, nie drgnął, nie pochylił się. — Przytomni, parci świeżemi przychodniami, zwolna muszą posuwać się naprzód półkolem — wstrzymują oddechy, oburącz trzymają szable, by nie zabrzękły, lękają się chwili, w której pan ku nim twarz obróci. — Wielki Boże! przed tą twarzą nie stanie im serca!

Jezus Marya! jakież to dziwo? — On przywitał ręką przytomnych ludzko i wspaniale, tak, jak zawżdy zwykł

czynić—niby zadumany, niby nieświadom rzeczywistości, wpatrywał się w ich postaci i przecierał powieki; a ognista gorączka płonęła mu na licach. – „Wina węgrzyna—niech wypiję zdrowie obywatelskie!“ -- Nikt się nie ruszył — wszyscy skamienieli dokoła. — „Krew tę obmyć, nim moja dziewoja powróci!“— Nikt się nie ruszył — każdy głowę spuścił, nie mogąc znieść wzroku jego. — „Ha, wy nie wiecie, że to wszystko śni się nam. — Sen uparty, długi, przeklęty—ale wkrótce ranek być musi i przebudzę się“. — To mówiąc, szedł na krużganek.— Tu nagle zdał się inną zaprzątniony myślą: przechylił się przez mamurowe poręcze, patrzał w lewo i w prawo, potem woła: „Mości Panowie bracia, chodźmy szukać państwa młodych! Dziwno, że na przechadzkę wyszli sobie tak rano“.

* * *

I zaraz zstępuje sklepionemi wschody, tą samą drogą, którą wczoraj synowiec wdzierał się na zamek. – U stóp wzgórza zerwał róż kilka: „To dla mojej dziewczyny — ciszej wiara — ciszej—zejdziem ją niespodzianie w tym lasku i przywitamy dnia dobrego życzeniem.“ Z pochylonemi głowy wszedł za nim orszak pod cienie jodeł i smutnych modrzewi. — Węzły ścieżek ściskały się i rozpuszczały na przemian, wiodąc w głąb ciemną, to na czyste smugi. to wbiegając na pagórki, zasute agrestem. — Starzec zaczął wołać córki po imieniu. — Echa naokoło naśmiewały się z niego, ludzie szlochali, idąc z tylu za nim. — Nagle uderzył się ręką w czoło: „Zmora, zmora, a ja wierzę jej, jakby czemu dobremu — kiedyż wnijdzie mi prawdziwe słońce?—I rzucił się ku blizkiej sośnie, objął pień rękoma: „Obudź mnie, ocuć, twarda koro!“— Potem się odwróci i porwie najbliższego z orszaku za piersi i krzyczy: „Maro sługi, mocuj się z panem twoim—obudź mnie—obudź!“ Przerażony sługa wymknął mu się i ucieka. Westchnął starzec, wzniósł oczy ku niebu — wyraz przystania na męczarnią twarz jego pokornie oświecił, jakby za grzechy ten sen okrutny ofiarował Bogu. — Potem szedł spokojnie, a gdy uszło czasu trochę, znów rzecze: „Panna młoda pewno tam, nad jeziorem.—Za mną, wiara, dalej!“

* * *

Owoż i słońce podbiło się w górę, owóż i rosa wysycha już na liściach a wód powierzchnia płonie wrzącemi blaski. — U brzegu zaczepione kołyszą się łodzie o herbownyh flagach. — On przypiął sobie do pętlicy róże i chodzi po wybrzeżach z coraz żywszą na licu gorączką — nikt nie śmie przemówić, nikt radzić, by wrócił do zamku. Przywykli słuchać woli nieugniętej pana i teraz jej hołdują, choć ona już nie z tego świata. — Im samym ten dzień wygląda nakształt ciemnej nocy — im samym do mózgu wdziera się obłąkanie! —„Może wsiadła na łódkę, popłynęła z mężem pomiędzy te kępy, za te' wysepki? — Hej, sześciu z was bierzcie się do wioseł — i my też popłyniemy za nią!„— Usłuchali, on siadł na statek, odbili od brzegu.—„Czego jęczycie tak dzisiaj? — czy woda wam twardsza?„— Oni nic nie odpowiadają, tylko jadą prędzej. — Za niemi reszta dworzan, jak kto mógł, skacze w inne łodzie.— Dużo ich pojechało za starym panem.— Dużo zostało na brzegu, bo zabrakło czółen.

*
* *

Wysepki kryły się jedne za drugiemi — każda wieńcem sitowiu opierścieniona.—Tu i ówdzie na nich olbrzymie głazy, dawne okrutnych bogów ołtarze, dziś obwisłe powojem. — Kiedy dopływała łódź, u steru której siedział starzec, zewsząd zerwały się z pluskiem i szumem dzikich ptaków stada. — Czarna z nich tęcza zawisła nad płynącemi — na każdym skręcie wodnego manowcu starzec klaszcze w ręce: „Tu, tu ją znajdziemy“, a gdy nikogo nie widać, pyta się powietrza: „Gdzie dziecię, dobre dziecię moje?“ — Tak opłynął całą wysp drużynę i czystem jeziorem kazał jechać ku drugiemu brzegowi. — Lecz już teraz zamilkł ster puścił, czasem rzuci się nagle w bok, a wielka bladość rozpościera się po jego twarzy. — Zanużył ramię w wodę po łokieć i, słuchając szmeru fali, głośno się rozśmiał. — Stanęli wioślarze, czekają, ażali im nie każe wrócić. — On i słowa nie wyrzekł, jedno wstał i, odwróciwszy się, spoziera na zostawione z tyłu czółna, na ogrody i zamek a ciągle ręką głowę przeciera lub drugiej dotyka się dłoni — w tem krzyknął: „Chcę się przebudzić — ja chcę się przebudzić!“ Oni zadrzeli. — On skoczył z sił wszystkich, ostatnich w głębinę. — Trzech natychmiast rzuciło się za nim, tymczasem nadpływają tamci.—

Wszyscy widzieli, co się stało, i patrzą na wodę, wirującą w miejscu, kędy zapadł stary pan z wiernemi sługi. — Wrócili po kilku chwilach pływacze, niosąc między sobą starca.— Na pokładzie pod flagą herbowną złożyli pana.— Lecz w nim już nie patrzeć życia, życie pod błękitami jeziora zostało!

* * *

Tak obce książe zagrabiło zamek starożytny cnego imienia. — Zwłoki teścia i żony uczciło pogrzebem — ciało wygnańca rzuciło gdzieś w nieświęcona ziemię. Potem wyprawiło towarzyszom stypę w onej samej sali, kędy noc pierwszą ślubu przemarnowano z kielichem w ręku, z żartami na ustach. — A gdy zorza błysnęła, na rączych koniach udali się wszyscy na dwór króla poludniowego.— Król z serca rad był książęciu, że rozległe imiona zagarnęło ślepym losu trafem.— Król dziękował losom, że ród odwieczny i potężny wygasł. — Lecz w gorach pamiętają wodza, który spoczywa w nieświęconej ziemi. — Jego mogiła leży z tamtej strony zamku. — By nad nią krzyż pamięci zatknąć, wprzódy zamek szturmem zdobyć trzeba. Od gór na zwiady wysłane, latają ku wieżom orły i krogulce. — Lada dzień za niemi sypną się zbrojnie męże, a inny pieśń zwycięstwa ułoży. — Ja wam podałem pieśń zgonu!

* * *

A ty, młoda dziewczyno, znikłaś jak myśl, co sobie konchy glinianej ulepić nie mogła na ziemi — skrzydła jej zawadzały — pozbyć się nie mogła skrzydeł! I poniosły cię one, dokąd wichry lecą, mgły żeglują, dokąd rwą się liście jesienne i wiją się szumy harfy i pieśni westchnienia! — Na grobie marmurowym prochy twoje noszą imię cudzoziemskie, nienawistne męża. — Wokół, na zielonym świecie znikomych, nikt już nie wspomina ciebie. — A nazajutrz po zgonie siedmiu starców cię przeklęło za to, żeś pociągnęła za sobą bohatyra duszę. — Nazwali cię oni szyrdeczem imieniem: „kobieta“, kiedy mówili do zgromadzonego ludu — ale lud płakał, i rozchodząc się, wołał: „Wieczny odpoczynek daj jej Chryste Panie!“.

POKUSA.

Ach, mętne krwią i łzami pędzą życia fale
I na nurtach potoku słychać wieczne żale
Z tyłu leżą, przyszłości mgłą obwiane, tonie.
Z przodu niebo dalekie krwawą łuną płonie,
A wokoło pływacze tak zimno i ciemno,
Że każdy woła, płynąc: „Przekleństwo nademną!“

Matko, po sześćkroć zabita, matko nieszczęśliwa, jednym smuglem zielonym, łanem jednym kłosów ty pamięć obwiążesz i odtąd cierpieć, błądzić, kochać cię muszą syny twoje. — Za niemi grób od morza do morza przed niemi, gdziekolwiek idą, zachodzące słońce, a idących przeklinają mocarze i kupcy!

Wzrosłych na łonie śmierci nie zrozumieją żyjący — pobledną twarze ludzkie przed wzrokiem upiorów — na odgłos ich stąpań płomień ognisk domowych pochyli się i głazy ogniska zamiecie — matka ukryje dziecko, żona uprowadzi męża, by nie podał dłoni przechodniowi — gwiazda im tylko wieczorna, gwiazda grobów uśmiecha się w górze!

Wszak święte było milczenie borów sosnowych?—a kiedy wiatr się podniósł, wszak wołał nad waszemi głowy szmerem tajemniczym, jak modły arcykapłana! —Boga waszego niema tu już nigdzie. — Tu szkielety z drewna, okute żelażem podsycane parą, zaległy przestrzenie; — w powietrzu nie unoszą się orły, w zaroślach nie świergocą ptaki, rączego konia tu żaden z was nie osadzi na stepie i nie pojrzy z dumą, sam jeden śród świata!

Przechodząc więc, i wy im odwdzięczajcie się wzgardą; — kiedy was zawiodą do miast bez świątyń i zamków, poddomy białe tynkiem, którym wygoda prócz zielonych okiennic skąpiła ozdoby, powiedzcie: „Umarli!“

Kiedy na brzegach morza staniecie śród Żydów, Ormianów i Greków, swarzących się o podłe zyski, a grzmot, co huczy nad falą, niesłyszan przemija — „Umarli!“

Kiedy naokoło snuć się będą niewiasty, ciała, ubrane w suknie, a polot ich sukien, powiewem trącanych, duchowniejszy, niż dusza ich — „Umarli!“

Idźcie, płyńcie, jak szum nietkniętych borów! — Świat was nie pozna, bo wy z trumien rodem — i, zmartwychwstając, po drodze rzucacie szmaty całunów, a on na spadzistościach, on w purpurze potęgi schodzi!

* * *

I ujrzałem jakoby w cudownem widzeniu obraz, zmieniający się, jak długie życie, a znikomy, jako dzień jedeń, co się poczuie rankiem, a prędko pod cienie wieczoru zaleci.

Ranek był dziwne przejrzysty, wolen chmury wszelakiej. — Słońce wschodziło nad szeroką przestrzenią zieloności — przed domem na w zgórzu koń osiodłany rył murawę kopytem i rżał, chwytając w nozdza powiew z doliny. — Obok stał, młody, ledwo że młody pan jego, z iskrą światła w oku równą dziennej jasności. z jedną nogą na strzemieniu, z drugą jeszcze na miękkiej, domowej murawie — z jedną ręką na grzywie szumiącej, z drugą w dłoni człowieka, z którym się żegnał, nie wiedzieć, na jak długo, jednak nie na zawsze.

I z serca ku sercu szły naprzemian jednego i drugiego słowa. Starszy, ten, co stał i miał odejść pieszo, wzrok wbity trzymał w dalekie skały i bory za smugami zieloności, Tamten wzniesione miał oczy, całą pił błękit źrenicą i głos jego brzmiał, jak najpierwsze świeżej struny dźwięki. — Starszy przemawiał wolniej i surowiej, znać radził, przestrzegał i zaklinał — znać kochał mocno — znać wątpił nieco — a młodszy nie wątpił, przysiągł, rzucił się na szyję przyjaciela, wnet potem na siodło — i poleciał, poleciał, jak potok, z góry na dół, potem, jak strzała, po równinie. — Chmara sług sypnęła się z domu starożytnego i goni za panem.

Wtedy pozostały ukląkł i słyszałem to, co mi wiatr przyniósł z jego modlitwy: „Ojcze niebieski, dozwól tej duszy rozkwitającej nie zwiędnąć na ziemi! — Nie wódź jej na pokuszenie, wszelkiego poddaństwa ludzkiego odsuń od niej znamię — niechaj Tobie służy tylko — Matce, po sześćkroć zabitej, niechaj służy tylko!“—

To umilkł klęczący i zdał się głęboko rozpamiętywać, czy przeczuwać, czy też modlić się wciąż jeszcze — aż ścisnął dłonie z sił wszystkich; i znów wiatr przyniósł mi słowa jego: „Ojcze niebieski, nie proszę cię za przyjacielem, byś mu osłodził mękę życia — on ciepieć musi jako wszyscy na świecie.—Jedno uskąp mu, Panie, rumieńca wstydu i hańby słabości!“ —

Po tych słowach ze wzgórza puścił się wędrowiec i szedł pieszo ku dalekim skałom, ku lasom czarniawym. —

Znów razem zeszli się oba, konny i pieszy, o południu dnia tego samego, przed wielką bramą miasta. — Już skwar

słońca wypalił ciemnawe ślady na młodszego czole, już rosa muraw wyschła na jego strzemionach i rdza połysk ich stali szpeciła, a koń, przylatując z daleka, stanął, jakby znużony, choć żarem jeszcze pryskały mu oczy. — Pieszy siedział na głazie, od stóp do głów siwy kurzawą. — Młodzieniec skoczył lekko na ziemię, rzucił mu się w objęcia i konia sługom oddał i wszedł bramą wielkiego miasta, wiodąc towarzysza ku pałacowi. —

Spoczęli oba w jednej z wnętrznych komnat pałacu. — Tam rozmawiali przyciszonym głosem, jakoby się lękali z za ścian ucha nieprzyjaciół. — Młodzieniec, na perskim kobiercu rozciągnięty, odwilżał usta w srebrnej czarze. — Starszy nie dotknął się puharu, kiedy mu go podawał przyjaciel, nie ścigał wzrokiem po stołach i ścianach, kiedy mu ich kosztowności wskazywał przyjaciel. — Wstał nareszcie i. wziąwszy młodzieńca za rękę, zawiódł go do okna.—Stamtąd całe miasto widne i tłumy snującego się narodu.—Miasto ogromne, dziwnie jednostajne i wybielone; — naród dziwnie silny, jednostajny, w czarnej odzieży. — Młodzieniec patrzał ciekawie, starszy wędrowiec westchnął i rzekł: „Kiedy was zaprowadzę do miast bez świątyń i zamków, powiedzcie: Umarli!“

Ale młodszy patrzał jeszcze ciekawej: przejeżdżały niewiasty; jaskrawe były barwy ich sukien; każdą dwa rumaki ciągnęły, a jeden z nich odrywał się w bok i pędził„ śnieżną zasłoną, gdyby żaglem rozpiętym, otoczon. Starszy wędrowiec westchnął i rzekł: „Kiedy naokoło snuć się będą ciała, ubrane w suknie, a polot ich sukien duchowniejszy, niż dusza ich powiedzcie: Umarli!“ —

Ale młody nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela.— Tymczasem na niebie zbierały się zewsząd ciężkie, spiekłe chmury.— Jakżeż ta godzina południa różną już od porannej była! —

A wśród narodu czarnego zaczęli snuć się ludzie, przed którymi naród głębokiemi chwiał się ukłony. — Kuse ich stroje, migocące złotem, przetkane barwistemi wstęgi długi, chudy oręż przy ich boku — wołając, szli w potędze swojej i uderzali dzieci, pozostałe na drodze. — Jęły płakać dzieci, jął tłum się cofać i uciekać; oni jedni zostali na rynku, a coraz ich więcej przybywało — i kłaniali sobie samym coraz grzeczniej, coraz niżej, aż Jeden konno nadjechał i wszyscy upadli twarzą na ziemię. — Snać ten Jeden był panem życia i śmierci. —

Wtedy rzekł pierwszy wędrowiec; „On już na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny“. — Lecz młodzieniec, wlepiwszy wzrok w jasne szaty jezdca, ich błyski pił całą źrenicą, tak, jak niegdyś błękit niebios, i nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Dopiero, kiedy ten drugi raz je powtórzył, zakrył on oczy dłonią i wyrzekł imię matki zabitej, jakby wspomnienie dzieciństwa.—Starszy, przyciskając go do piersi: „Nie patrz, nie patrz na nich!“ — zawołał, — „Nigdy! nigdy!“ — odparł młodzieniec i, zalany łzami, rzucił się znowu na wschodnie kobierce. — I usłyszałem modlitwę, odmówioną w duchu nad leżącym przez odchodzącego wędrowca: — „Ojcze niebieski, o południu tej strasznej próby błagam cię za tym, którego ukochałem. — Ojcze niebieski, teraz już o cud proszę Ciebie. — Osłódź tej duszy walkę życia—uwolnij ją od pokus, któremi inne otoczyłeś w tych miejscach, by nie upadła, jak owi dawni, najpiękniejsi w Twoich niebiesiech. strąceni za to, że zapragnęli potęgi!“—

Sam teraz, sam jeden wśród miasta wielkiego został młodzieniec i musiał się bratać z ludźmi napotkanymi. — Co chwila zmieniają się kształty ulic komnat i osób, a on wszędzie pomiędzy niemi oko moje ciągnie za sobą.—Niesłychane cierpienie zakrył on spokojnym licόw pozorem. — Ciągle za nim wije się rój złych myśli, wzorem czarnych owadów — a po drugiej stronie leci rój dobrych w błękitnawe iskry. — Pierwszy osiadają mu serce i toczą je krwawo, drugie krew spiekłą wypalą z serca i rany zabliźnią — lecz nowe, coraz głębsze powstają. — Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia — niema komu się zwierzyć, dzieciom i niewiastom nawet kłamać musi; uczy się kłamstwa, jak arcydzieła sztuki, i posiadł je — i stał się panem spojrzeń i łez i ruchów swoich, aż jasność, równa dziennym promieniom, znikła z jego źrenicy. — Boże! i same szaty jego stały się kłamstwem; zrzucił dawne, w których latał po stepie, wziął na głowę czuby piór i chudy oręż przypasał do boku; tłum jął przed nim się cofać i koń go własny nie poznał, gdy wchodził na podwórce pałacu swojego — pogłaskał mu grzywę, a on nie zarżał—chciał skoczyć nań, jak dawniej a on dęba stanął.—Gniewem zdjęty, pchnął więc konia szpadą; szlachetny rumak oderwał się od słupa, krwią bryzgnął i uciekł grzmiąc podków łoskotem. — Ślad długi iskier bruk osypał za nim i zagasł w zmierzchu. — Ach, już była nadeszła zmierzchu godzina!—

Wtedy po trzeci raz w dniu owym z przyjacielem spotkał się młodzieniec; — ujrzałem ich obu w kościele. — Ten kościół stał na ustroniu i krzyż na nim różny był od wszystkich innych, zatkniętych na świątyniach miasta. — Ubogie ołtarze i stropy grubą powleczone żałobą, a trzy gromnice tylko paliły się wśród szerokiej ciemności. — Jedną z nich wziął do ręki pieszy wędrowiec i patrzał na przyjaciela pełnym żalu wzrokiem. — Tamten zrazu nie mógł słowa wyrzec bo zapominał był słówmi głąb duszy objawiać; raz tylko krzyknął. — W tym krzyku cała ozwała się prawda — ducha, nie chcącego upaść, powolne niszczenie. — I złożył głowę na ramię towarzyszowi i spuścił powieki, jakby marząc, iż może uda mu się zasnąć na wieki w tej chwili. — Lecz towarzysz ocucił go i rzekł: „Za mną, za mną, byś sobie postać matki przypomniał!“ — I poszedł przodem ku rozwartym drzwiom za wielkim ołtarzem. — Mroźny wicher buchał z podziemiów — gromnica przewodnika biła się z powiewem, w długie iskry rozczochrana. — I szli oba długo bardzo, coraz niżej zstępując do łona nocy, aż z ciasnego przejścia wydobyli się na głuche i niezmierzone obszary.

Ogniki nocne spadały czasem nakształt zlatujących gwiazd — czasem podnosiły się z dołu, jak wschodzące księżyce. — W ich świetle snuły się długie cmentarze jeden po drugiem, a na każdego bramie tlało srebrne imię Ludu, który na nim leżał zamordowany. — Po kościach i czaszkach przechodził młodzieniec i czytał napisy. — Zdawało mu się, że cienie umarłych pomykają się przed nim spłoszone i, jęcząc, uciekając dalej—aż zrósł się z nich tuman, podobny do burzy, co chwila ogromniejszy, szumiący tysiącem smętnych pieśni rodzinnych. — Znać było jakoby migotanie szabel i przewiew sztandarów w powietrzu.— Łuny pożarów jak błyskawice rozlewały się w przestrzeniach i gasły na przemian, a coraz chyżej i coraz dalej toczył się wir duchów, aż nagle spuścił się na dół, rozsypał się, jak zeschłe liście, przyległ do ziemi, jak letnia kurzawa, wołając: „Ojcze niebieski, zmiłuj się nad nami!“ — Wtedy zatrzymał się przewodnik i kląkł przed wniściem do otwartego grobu, na którym imie po sześćkroć zabitej paliło się białym płomieniem; — a kiedy powstał, drżał od stóp do głów, świętem przerażeniem zdjęty; a kiedy próg przestępował, zaczął płakać rzewnie.—

Smętne światło jesiennych pogód oświecało tamtejsze

przestwory; — niby to wieczór już nadchodzi, a na wzgórzu, łagodnie pochyłem, leży trumna pod wysmukłą sosną; na jej szczycie orzeł przeszyty, w własnej krwi uśpiony — a w trumnie postać z krzyżem na piersiach, z zasłoną na twarzy z okowami na ręku, z koroną na czole. I wzgórzów takich sześć po sobie, przedzielonych zielonemi smugi, kędy krew płynie na wzór szemrzących ruczajów, kędy oręż połamany zielskiem zarasta; a na każdem wzgórzu taż sama trumna i postać taż sama, jedno coraz więcej krwi, coraz na dłoniach leżącej cięższe łańcuchy i światło jesienne co chwila bledsze; wreszcie u stóp ostatniej wyżyny zmarzłe sterczą krwi potoki, na sosny konarach wiszą sople lodu i miasto zasłony śniegiem twarz umarłej przykryta. — Tam gdy doszedł młodzieniec, padł czołem na grudę zimową i przeklął życie! —

Dalekie pozostałych cieniów u bram grobu słychać westchnienia, płacze; wreszcie zapytały: „Czy skonała już po sześćkroć przebita, czy nie powstanie już nigdy i nas biednych nie wywiedzie?“ — Starszy wędrowiec nic nie odpowiedział, bo okiem miłości patrzał na towarzysza w tej chwili i dźwigał go z ziemi ramieniem. — Wtedy powstało narzekanie wszystkich dalekich pomarłych ludów i jednym krzykiem ogromnym ciszę śmierci zrzucili: „Ojcze niebieski; Tyś zdradził nas, Tyś wydał nas piekłu, bo Święta nasza skonała!“ —Ale przewodnik odegrzmiał im z oddali: „Nie bluźnijcie, bo Święta wasza oddycha! jeszcze!—Widzę ją: śpi w trumnie ostatniej na zamarzłem wzgórzu — za niem już niemasz siódmego, tylko jedno jest: zmartwychwstanie.“ — A ryk duchów wołających opadł i przerzucił się w szmer cichy i słodki, jak początek nadziei.—

Wtedy spostrzegł młodzieniec niedojrzane dotąd za trumną obszary. — Tam padał blask jutrzenki na błękicie bez końca, stamtąd było słychać szczęk jeszcze nie narodzonych bitew i pieśń zwycięstwa. — Lecz zorza przez chwilę tylko jaśniała, chrzęst przez chwilę tylko dzwonił, milczenie i zmierzch i zimno wróciły. — Czas już odejść. — Oba wstąpili na wzgórze, pochylili czoła i usta na stopach postaci złożyli i z pod śniegu słabiuchny oddech ust jej zasłyszeli.—Potem tąż samą, widziałem, jak wracali drogą strasznemi wiążąc się przysięgi.—

A starszy, żegnając młodszego u wnijścia do kościoła, rzekł dziwnie zaklinającym głosem: „Nie daj się uwieść tym, którzy chcą zgubić duszę twoją i wymazać imię twoje z rzędu słów zacnych na ziemi! — Pamiętaj, że cokolwiek ujrzysz tej

nocy, jest piekieł złudzeniem!“ — I, położywszy dłonie na sercu młodzieńca: „Ojcze niebieski—zawołał—zlituj się nad nim i nademną, bo jeśli on tej okropnej próby nie wytrzyma, Ty wiesz, że ja sam jeden zostanę na świecie!“ — Po tych słowach każden z nich różną poszedł drogą.—

Teraz już ciemna noc była w onem wielkiem mieście.— Mnogie po ulicach ruszały się tłumy, wszystkie w stronę jedną, kędy światło tysiącznych lamp wołało do zamku, brzmiącego wrzawą muzyki i tańców. — Po wschodach miedzianych wiodących w górne komnaty, wspinają się młodzi i starzy, męże i niewiasty, wszyscy spiesznie, chciwie, jakby szli do nieba. — Powoli mijają godziny nocy, dłuższe, niż wszystkie poprzedzające dnia tego, a o którejś z nich ujrzałem młodzieńca na owych wschodach, z daleko starszą twarzą, na której ślady przysiąg zręcznie się ukryły.— Cisnął się za nim orszak sług—rzucił im płaszcz swój i darł się wyżej strojny i wspaniały, gość, równy pysznym godom! — Lecz zaledwo wszedł i spojrzał na tysiące, pląsające w tych miejscach, na przepych rozwieszonych łupów, na oręże, pryśnięte i wprawione w sklepienia wzorem mozajki, zbladł od gniewu i zgryzł wargi do krwi — ale tłumy lecące porwały go między siebie —tysiąc skrzypców, piszczałek i rogów pijanem powietrzem oblały mu głowę, woń kadzideł wkradła mu się do mózgu, jedwabne kobierce lubieżnie łaskotały go w stopy, co chwila innej barwy światło grało mu w oczach — aż znękany, upojony siadł na uboczu i, pochyliwszy skronie, zamarzył się o licach niewieścich, o śnieżnej dłoni jakiejś.— Wtedy usłyszałem, jak biła jedna długa nocy godzina.—

Kiedy podniósł oczy, ujrzał przez rzęd rozwartych podwoi w dalekiej świetlicy tron słonecznej jasności, górujący ponad morzem ruchomem tancerzy, a na nim siedział Jedynowładzca życia i śmierci pod wiązaniem z chorągwi. — Z jednej, rozdartej na szmaty, czasem kropla krwi padała, lecz nikt na nią nie zważał prócz młodzieńca. — Na ten widok wszystką siłą duszy odegnał wabiące mamidła i spojrzał wzrokiem czystym od pokus tak jak w godzinie poranku.—

Wtedy tłumy rozginać się zaczęły w prawo i na lewo —od tronu aż do młodzieńca wytknęła się szeroka ścieżka przez wszystkie komnaty. — I z tronu zstąpił pan zamku i szedł zwolna, jakby Bóg jaki, wśród padających na ziemię;— prosto szedł ku siedzeniu młodzieńca, na krok nie zboczył,

zbliżał się coraz bardziej, cudownie piękny i silny.— Tamten wstał i śmiało spojrzał mu w oczy—pan życia i śmierci nie zmarszczył brwi, owszem, rzekł łudzącym głosem: „Chodź, przejdziem się razem — i dziwy ci zamku mojego pokażę!“— a kiedy młodzieniec stał, jak przykuty, on sam przystąpił, złożył pocałunek na jego czole i pociągnął za sobą. —

Z trumną matki, wijącą się przed oczyma szedł młodzieniec, a ramie jego drgało krwi kipiącej biciem na twardem ramieniu mocarza, który, srogim głosem grzmiąc ku rozstępującym się, dziwnie miłym i szlachetnym wciąż przemawiał do towarzysza. — Wspominał o przeszłości wymówił nawet imie matki zabitej bez wzdrygnienia, jakby jej śmierć nie ciężyła na jego sumieniu; nie zdał sią na chwilę powątpiewać, że znikła już z ziemi na zawsze, i wskazał młodzieńcowi inną przyszłość, ogromną, wyrytą w księgach przeznaczenia— nęcił ku niej młode jego żądze, nie szczędził obietnic, a czasami udawał natchnienie, gdyby prorok Boga. — Od twarzy jego urodziwej, jak twarz Antychrysta, ku ziemi wzrok odwrócił nieszczęsny młodzian. — Każde słowo kusiciela kroplą jadu padało mu na serce i z niej robak się wylęgał. — Tak przeszli razem długi szereg komnat wśród ludzi, czołem bijących o malakity posadzek. —

Na drugim końcu zamku nagle na rozkaz pana spiżowe bramy się rozwały i tysiące, podźwignąwszy głowę, chciwie poza i ich progi spojrzały. „Oto skarbiec mój — rzekł mocarz—patrz i uwierz we mnie!“ — A młodzieńcowi się wydało, że stoi na brzegu kopalni, ciągnących się bez końca.— Blask, bijący z ich jarów i urwisk, pożerał źrenicę;— toczyły się tam potoki płynnego złota i srebra, tęczą przeskakiwały nad nimi łuki z ametystu. — Słychać było gwiazdy podziemmnych płomieni, trzęsły się wzgórza, rwały się jaskinie, a świeże dyamentowe bryły lepiły się z ich gruzów. — Czasem też odzywał się jakoby krzyk konających, jakoby szczęk kajdan z głębi — i przesuwały się postacie ludzkie po tych smugach jasności, jak czarne plamy księżyca. — Wtedy oko pana w górze rudym płonęło gniewem, postacie wznosiły ręce i, tłukąc łańcuchami, przeciągle wołały o jedną kroplę wody, o jedną chwilkę odetchnienia. — On nie raczył im odpowiadać, a co chwila jedne padały w ogień wnętrzny kopalni, a drugie, równie okute i umierające, na ich miejsce wchodziły. —Zdało się młodzieńcowi, że rysy niektórych widział gdzieś

dawniej na powierzchni ziemi, lecz błyskawice przesłoniły mu ich twarze — szum topniejących kruszców zagłuszył ich jęki — blask, równy pogodzie pustyni, wszystko zalał i pokrył.— Wtedy bramy spiżowe zawarto, a pan życia i śmierci, odchodząc, rzekł: „O dwunastej bądź w sali tronowej— tam zasiądziesz do biesiady przy mnie!“—

Teraz, gdziekolwiek udał się młodzieniec, witały go tłumy okrzykiem. — Byli i tacy, którzy mu rękę całowali za to, że dotknęła się dłoni ich pana. — Pytali się, jakie pieśni lubi i wnet muzyka je grała — przynosili mu słodkie w czarach przejrzystych napoje. — On dziwił się i gardził zrazu, potem spojrzał dumnie i rozkazywać zaczął.—

W prześlicznej ustroni, wśród pachnących krzewów, na aksamitnych kobiercach spotkał pań zamężnych i hożych dziewic grono. — Ledwo wszedł, one go otoczą, każda go wita różanym uśmiechem, każda mu szepcze do ucha w przelocie i rzuca kwiatami na niego. — Gorączką nadbiegły mu lica, uczuł, że zdołałby w zamku wroga być szczęśliwym, i to uczucie, jak piorun, strzaskało mu serce. — Ucieka — one gonią za nim, szumiąc powiewnemi szaty. — Przez dwie długie tej nocy godziny widziałem, jak splątany, pomieszany, walczący prosił się czasami Ojca niebieskiego o siłę i cnotę, to znów w rozpaczy przebiegał sale godowe i szukał broni, by pchać się w piersi,—ale nie znalazł jej nigdzie. — Były inne, w których, odwróciwszy się do czarownych postaci, przeklinał je i lżył, rozdzierał ich muślinowe przesłony i deptał nogami.— One, płacząc i korząc się, wołały:—„O, raz, raz tylko powiedz, że jedną z nas kochasz!“— Wreszcie krzyknął w obłąkaniu: „Kocham!“—Porwał w objęcia cudzego rodu dziewicę, wrzące usta złożył na jej ustach, a ona go powlekła do sali tronowej.—

Tam pan życia i śmierci zasiadł był na nowo pod zdobytemi sztandary.— Uderzyła jakaś nocy godzina—dworzanie stanęli wokoło. — Zwinęła się w górę makata, kryjąca drzwi platynowe. — Herold zawołał na czekających za progiem, a weszli posłanniki królów wschodu i zachodu.— Długo w uroczystym stąpali przewodzie, a każdy składał u stóp tronu urnę szczerozłotą, napełnioną popiołami tych, którzy, walcząc w świętej sprawie, po różnych stronach świata polegli;— a kiedy przeszli wszyscy, wstąpił wódz zbrojny w książęcych gronostajach i ostatnią urnę postawił na ziemi. — Młodzieniec ujrzał imię matki zabitej na jej wypukłości — stało mu

się ciemno przed oczyma — nic nie widział przez chwilę, nawet kraśnej towarzyszki — słyszał tylko zapytanie pana:— „Czy zaprawdę umarli i nie powstaną?“ — i odpowiedź posłów wszystkich: — „Zaprawdę nie powstaną nigdy.“ — A wtedy przystąpili dworzanie i, po obu stronach sali na słupach z czarnego granitu rozstawiwszy urny, płomień do ich wierzchów przytknęli. — Zapaliły się próchny sinym ogniem, blade dymy powiły się w powietrze i poniosły panu woń śmierci. —

I zdało się młodzieńcowi, że wszystko, co widział o godzinie zmierzchu, snem było; zdało mu się, że te tłumy są swiata panami, a król ich wszechmocny na zawsze. — Przez wszystkie zamku komnaty jeden stół się podniósł i stanął wśród urn płonących. — Dziewica prosiła oblubieńca, by zasiadł do biesiady; pan, schodząc z tronu, sam skinął na niego i miejsce mu wskazał—i wszyscy, którzy tam byli, gdy dwunasta biła, zasiedli do onego stołu. —

Prosto młodzieńcowi w oczy stał słup, dźwigający matki popioły. — Ile razy nań spojrzał, puhar upuszczał na ziemię; lecz mu go nazad podawała narzeczona. — Jednak coraz groźniej i straszniej pasował się duch jego obłąkany, usiłując powrócić do dawnych wiar i nadziei; ale wszystko, co go otaczało, grubą zasłoną, ćmiło mu poznanie. — Zatrute krążyły zdrowia — on na cześć pana wychylać je musiał — osłabły piersi dreszcz rozwiązał członki; skronie, zimnym potem zlane, pochyliły się; ludzie, urny, sklepienia pogmatwały się przed jego wzrokiem.—Głosy rozmów, dźwięki muzyki, słowa oblubienicy pomieszały się w okropny hałas, nieznośny mdlejącemu; — i tak minęły przedostatnie godziny.—

On żył jeszcze, ale nędznem serca biciem, kiedy ostatnia uderzyła, jak grzmot, ponad jego głową. — Rozemknął powieki — płomienie urn dogasały. — Pan życia i śmierci, nachylając się ku niemu, uśmiechnął się łaskawie: — „Gościu biesiady mojej — rzekł — czas, byś mi przysiągł na służbę i wyrzekł się starożytnego imienia!“— i rzucił mu przez stół garść dyamentowych krzyżów, dodając: — „Noś to na pamiątkę moją!...“— Herold stanął przy młodzieńcu i rotę wyrzeknięcia się czytał z księgi czarnej, a konający powtarzał słowo po słowie, nie słysząc własnego głosu. — Głowa jego opadała na łono oblubienicy, usta jeszcze się ruszały, ale już bielmem zachodziły oczy — i wymówił tak wszystkie wyrazy

aż do ostatniego. — Lecz zaledwo skończył, wstał pan życia i śmierci: „Sługo sług moich — zawołał — śmierć od powroza kata cię czeka, jeśli kiedy złamiesz przysięgę...“ — potem rozśmiał się gardłem całem. — Podniósł się nieszczęśliwy, a za pierwszem spojrzeniem spotkał urnę matki — lecz miasto jej nagrobku, inne tam już słowo stało: „Hańba!“ wyczytał młodzieniec. — „Hańba!“ krzyknął, zrywając się z miejsca ostatkiem sił — „Hańba!“ odrzekły mu tysiące z tyłu, z przodu, z boków. — „Hańba“ powtórzyły zamku sklepienia od sali tronowej po skarbcu kopalnie; — a jedni z pośród tłumu zaczęli nań wołać jego nowem, cudzoziemskiem imieniem — drudzy, skacząc naokoło, przypinali mu krzyże. — Inni kazali mu, by się im kłaniał; inni by deptał po niedopalonych matki popiołach.

To mu krew napowrót pchnęło do serca i rzucił się naprzód, rozbił otaczających, wyleciał z komnaty, szuka wzrokiem narzeczonej — ona gdzieś w oddali stoi, już oparta na ręce drugiego, i szydzi także. Jak może więc, tonie poza posągami, przepada w framugach; lecz zaraz go wykryją i znów uciekać musi — w sto manowców zamek plącze się przed nim, a nigdzie schronienia, wszędzie naokoło obelgi i groźby, a w nim samym przekleństwo! — Obrócił się ku wrogom, pasował się długo, aż zrzucili go pod stopy i przeszli po nim, śpiewając mu pieśń jakąś z stron jego ojczystych. — Gdy powstał, inni nadbiegli, a on wyzywał ich jeszcze, aż spieniony, krwawy, znów zacznie się cofać i szukać wyjścia z zamku. — I bił się i tarzał i biegł i padał aż do pierwszych świtu brzasków — wtedy runął ze wschodów miedzianych i toczył się na podwórzec zamkowy.

Tu go uchwyciły silne ramiona i uniosły daleko, aż na stopnie kościoła, widzianego o godzinie zmierzchu. — Teraz już blizki wschód słońca — lecz dla młodzieńca nie będzie drugiego poranka na ziemi!

On odzyskał przytomność i w niemej rozpaczy stał na wschodach przed starszym wędrowcem, który rzekł ponuro: — „Wiem, że w innym czasie i na innem miejscu mógłbyś był zajaśnieć bohaterem — ale wśród ciężkiej próby, naznaczonej ci od losów, nie umiałeś być cnotliwym. — Widoma rzeczywistość przemogła w tobie nad niewidomą, świętą, wiekuistą prawdą; — zgubionyś!“ — „Wróć mi konia“ — krzygnął młodzieniec — wróć mi szaty stepów i dawną broń moją, a

ujrzysz, jak mścić się będę krzywd bratnich i własnego zhańbienia!“ — I czepiał się rąk przyjaciela i zawieszał mu się na szyi, gorejąc wściekłością; — a tamten smutniej jeszcze odpowiedział jemu: — „Czas głośnej walki nie nadszedł. — Długo jeszcze dni milczących poświęceń trwać muszą, a choćbyś się doczekał sądu i zmartwychwstania, policzą cię właśni bracia w poczet odrzuconych. — Stamtąd, czy, słyszysz? już wrogi gonią za tobą! — Jeśli cię schwytają, przez resztę życia ty będziesz ich woli służalcem, ich zbrodni spólnikiem, ich żartu igraszką.—Jeden tylko, jeden ratunek pozostał dla ciebie“—i dobył sztyletu. — Młodzieniec zrozumiał i z dziką odwagą rozdarł szaty nad piersiami. — „Uderzaj! — zawołał. —Umieram synem matki, po sześćkroć zabitej — cześć jej na wieki!“ - Jęknął wędrowiec i w tych nagich piersiach żelazo utopił: — padł bez krzyku nieszczęśliwy w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, o tej samej porze, o której wczora, pełen nadziei i siły, pchnął był konia z góry na dół, w poprzek stepów życia.—Upadł, a oko jego, gasnąc, błysnęło dawną iskrą światła. Kląkł przy ciele towarzyszysz i wzniósł w górę załamane ręce. — „Ojcze niebieski, Ty wiesz, że go wśród wszystkich najmocniej kochałem na ziemi. — Pókim mógł, broniłem go od pokus piekła, a gdy upadł, w pierwszej chwili upadku duszę jego wydarłem wrogom i posłałem Tobie. — Ojcze niebieski, zbaw ją w wieczności, a niech ta krew, przezemnie wylana, połączy się z morzem krwi niewinnej, co jęczy u stóp tronu Twego — i wraz z nią spadnie na głowy kusicieli!“—Po tych słowach widziałem, jak sam drasnął się pod serce żelazem i na kamieniu ponad głową umarłego czerwonem ostrzem napisał: „Z ręki przyjaciela.“— Wtem wrzaski walącej zgrai huknęły w pobliżu — porwał się wędrowiec i uchodząc, znikł z przed oczów moich w przybytku kościoła. —

* * *

Tak przeszedł i zakończył się ów dzień jeden mojego widzenia.

O matko, po sześćkroć zabita, kiedy wstaniesz ze snu, kiedy znów zasiądziesz nad łanami zbóż, wśród zielonych borów od morza do morza, a w chwili odmłodzenia przypomnisz sobie długą zmorę śmierci, straszne widziadła męczeństwa —

nie płacz, matko moja, nie płacz nad onymi, którzy polegli w imieniu twojem na rodzinnych lub zamorskich niwach! — Choć sępy i wilki rozdarły ich zwłoki, oni szczęśliwi. — Ani płacz nad tymi, którzy wśród katów w głuchych umarli podziemiach — choć im kaganiec więzień jedyną gwiazdą, choć im twarde słowo ucisku ostatniem na ziemi pożegnaniem było — oni szczęśliwi.—Ale uroń łzę litości, o uroń łzę, matko moja nad losem tych, których rozum blichtrami fałszu złudzili morderce twoi, nie mogąc serc ich oderwać od ciebie przemocy rozkazem! — Oni, matko, oni więcej wycierpieli, niż reszta synów twoich. — Omylone nadzieje, jak noże, przeszyły im piersi, w okręgu ich ducha odbyło się tysiąc walk nieznanych i krwawszych od bitew, co grzmią w obliczu słońca chrzęstem stali i łoskotem dział. — Widmo twoje służyły im za cień własny; lśniące oczy wrogów sprowadzały ich pochyłością lodu ku głębi zimna wiecznego, a na każdem urwisku, zatrzymując się, płakali za tobą—aż serce wyschło im z tęsknoty, aż wychudły im ręce i nogi w niewoli bezwidomych kajdan; —i stali się, jako trupy żyjące, sami wśród nienawistnego ludu, sami w domach własnych, sami jedni na szerokiej ziemi. — Matko moja, ty nad dolą ich, ty nad męką mąk wyrzeknij ciche słowo przepomnienia! —

Objaśnienia.

NOC LETNIA.

Dedykacya

w. 8. „Nienawiść podłych — lub miłość anioła“ — pierwszy jest to t. zw. *genetivus obiectivus*, drugi przypadek, oznaczający przedmiot, więc — nienawiść ku podłym; „miłość anioła“ — niewinna,anielska miłość ku ludziom.

w. 1. „Widziałem, kiedy ją wiedli“ — Poeta przedstawia całe opowiadanie jako wizyę senną. Por. w „Pokusie“: „i ujrzałem, jakoby w cudownem widzeniu“ (str. 48.) Por. także „Sen Cezary“ i „Legendę“ w „Trzech myślach Ligenzy.“

w. 6. „w sutych dalmatykach“; dalmatyka (łać, *dalmatyca*) biała, długa szata rzymska z rękawami; obecnie noszą ją duchowni pod ornatem.

w. 10. „w zrzenicach“ zam. prawidł. w źrzenicach — dziś mówimy: w źrenicach.

w. 17. „krewnych i powinnych;“ — powinny, wyrażenie staropolskie dziś: powinowaty.

w. 24. „tak“=tak daleko.

w. 34. „żądze starców przezwane (są) rzyczywistości imieniem“ — starcy to, czego pragną, uważają za rzeczywistość.

w. 40. „gwiazd dżdże“ — deszcze gwiazd; 1. przyp. l. mn, od staropolskiego: deżdż (dziś: deszcz), dżdżu.

w. 54. „znikome usta“ — znikomy, ledwie dostrzegalny pocałunek.

w. 74. „boleść, kształtem uśmiechu zakrzywiona (na ustach)“ — boleść, która skrzywiła wargi jakby do uśmiechu.

w. 92. „Tak w śnie magnetycznym... chorzy stąpają“. — Sen

magnetyczny, sztuczny sen, będący objawem t. zw. *magnetyzmu zwierzęcego* lub *hypnotyzmu*; tu nazwa ta zastosowana do t. zw. *lunatyzmu* („w księżyca promieniach").

w. 95. „odejmuje ich brzegom przepaści" — nie pozwala im upaść w przepaść.

w. 199. „wzięty u króla" — mający u króla wziętość, poważanie.

w. 140. „handżary tureckie"; — handżar lub kandżar, broń wschodnia w kształcie noża, z ostrzem wygiętem ku środkowi.

w. 143. „małmazyą" lub „winem małmaskiem" nazywano w Polsce wina greckie lub wogóle południowe.

w. 163. „przewiódł na sobie" — przemógł się, przymusił się do tego.

w. 295. „dobry kindżał mój"; — kindżał = długi, obosieczny, zakrzywiony nóż turecki.

w. 337. „postronne" — okoliczne, sąsiednie.

w. 340-342. Porównaj postępowanie „Jedynowładzcy" w „Pokusie" w 269. i nast.

w. 346. „do nich" = „w jaskinie gór i w jamy puszcz"

w. 364. „Anioł stróż wasz mieszka w tychgórach" — w tych górach jest wasze ocalenie.

w. 366. „siwym trudem„ — trudem tak wielkim, że przyprawia o przedwczesną siwiznę.

w. 394. „wdzięczny" = mający wdzięk, urok.

w. 428. „wyrywa pień" — pień sosnowy, który tworzył kładkę łączącą dwa brzegi przepaści. („rzucony mostem ze wzgórza na wzgórze").

w. 461. „setnemi ogniami" — setkami ognisk (por. w 373 i n.)

w. 486. „pokój dotrzymań leżał na jej czole" — wyraz spokojnej powagi, widocznej w jej twarzy, świadczył, że dotrzyma obietnicy.

w. 491. „wzorem krat srebrnych"; — promienie księżyca przedzierają się przez rzeźbione w granicie w stylu gotyckim poręcze schodów i odbijają na schodach deseń rzeźby.

w. 520. „manele" — ozdoby, noszone przez kobiety zwykle na lewej ręce, naramienniki lub branzolety.

w. 521. „nic się nie krzyżuje" — wrażenia nie mieszają się ze sobą, lecz występują jasno, wyraźnie.

w. 522. „makata" = tkanina wełniana lub jedwabna, przetykana złotem albo srebrem.

w. 526. „nieprzytomni sobie“ — nie wiedzący o sobie: dziś mówimy krótko: nieprzytomni.
w. 533. „rozkazować“ na wzór dawnej polszczyzny; dziś rozkazywać.
w. 606. „takiej samej dłuży“ — takiej samej długości.
w. 643. „sadzone dyamenty“ dziś rzadko używany 6. p. l. mn. — wypisane dyamentami.
w. 648. „długiemi warkoczy“—długimi warkoczami ,por. wyżej.
w. 674. „na granicach zamków.“ — na granicznych zamkach.
w. 703. „wejść“=wzejść.
w. 712. „rozhuzdane“ — (od słowa huzdać = huśtać), rozkołysane, donośne.
w. 762. „wplótł mu serce na koło męki“ — wyrażenie obrazowe, zastosowane do jednego rodzaju tortur średniowiecznych=dręczył mu serce.
w. 765. „styrane“ lub: sterane = wyniszczone, znużone.
w. 772. „książe przybyłe“ (por. w. 1006: „obce książe“) — zamiast przybyły, na wzór dawnej polszczyzny. w której słowo „książę“ było rodzaju nijakiego.
w. 773. „Czarny hetmanie“.—Poeta ma tu zapewne na myśli Mikołaja Radziwiłła, zwanego „Czarnym“ (1515—1565), stryjecznego brata królowej Barbary, wydawcę „Biblii radziwiłłowskiej“, gorliwego kalwina; ale Mikołaj nie był „hetmanem“, lecz kanclerzem w. lit. — buławę hetmańską piastował współcześnie ks. Mikołaj Radziwiłł Jurewicz, zwany „Rudym“ (zm. w r. 1584).
w. 774. „kardynale rzymski“ — mowa o ks. Jerzym Radziwille, biskupie wileńskim, nuncyuszu papieskim i kardynale (zm. w r. 1600). Por. wstęp str. III. i IV.
w. 774. „wymów nad nim klątwę rozwodu“= słowa rozwodu, które mu będą brzmiały jak klątwa, przekleństwo.
w. 853. „okna przejściów“ — forma niewłaściwa, lecz z początkiem XIX. w. często używana, zamiast: przejść.
w. 899. „olsnąć“ — pod wpływem silnego światła stracić na chwilę zdolność widzenia.
w. 944. „zejdziem ją...“ — powinnoby być: zajdziem ją niespodziewanie.
w. 966. „flaga“ — chorągiew.
w. 1006. „obce książe„ — por. obj. do w. 772.

POKUSA.

w. 1. „Matko po sześćkroć zabita“. — Nie ulega wątpliwości, że mowa tu o Polsce; dlaczego jednak poeta nazywa ją „po *sześćkroć* zabitą, gdy trzy tylko były rozbiory, trudno wytłumaczyć. Być może, że powodem tego była chęć uczynienia alegoryi niezupełnie przejrzystą, bo i społeczeństwo rosyjskie, o którem następnie jest mowa w poemacie, przedstawione jest umyślnie, przynajmniej co do zewnętrznych oznak, fałszywie (np. czarne stroje, szpady u boku itd.)

w. 19. „nie pojrzy“ — nie spojrzy,

w. 23. „białe tynkiem“ — białe z powodu tynku, pobielone; „którym wygoda oprócz zielonych okiennic skąpiła ozdoby“ — wygodne, ale jedyną ich ozdobą były zielone okiennice.

w. 38. „wolen chmury“ — składnia na wzór dawnej polszczyzny, zamiast: wolny od chmury, bez chmury.

w. 42. „ledwo, że młody“ — zaledwie doszedł wieku młodzieńczego, ledwo nie dziecko.

w. 113. „kłaniali sobie“ — forma bez „się“ na wzór dawnej polszczyzny.

w. 137-140. „Ciągle za nim...“ itd. — Po jednej stronie młodzieńca unoszą się myśli złe, grzeszne, podobne do czarnych owadów — po drugiej stronie myśli dobre, szlachetne podobne do błękitnawych iskier.

w. 193. „przed wniściem“ — przed wejściem.

w. 224. „niemasz siódmego“ — niema już siódmego wzgórza, t. j. ojczyzna nie może już upaść po raz siódmy, gdyż sześć pagórków symbolizuje sześciokrotny upadek („po sześćkroć zabita“) — „tylko jedno jest: zmartwychwstanie.“

w. 244. „sam jeden zostanę na świecie“ — tj. bez przyjaciela, którego będą musiał zabić. (Por. w. 459.)

w. 262. „tysiąc skrzypców, piszczałek... oblały“ — zamiast: oblało; jest to t. zw. *constructio ad sensum*, tj, składnia, w której orzeczenie stosuje się nie do

gramatycznej formy podmiotu, lecz do jego znaczenia (tysiąc—oznacza liczbę mnogą, więc i orzecz. w l. mn. = oblały.)

w. 299. „urodziwej, jak twarz Antychrysta". — Antychryst, dodług pojęcia, pochodzącego jeszcze z pierwszych wieków chrześcijanstwa, postać, którą, Szatan ma wysłać na świat tuż przed powtórnem przyjściem Chrystusa (wiara w rychły koniec świata); miał on wszystkie potęgi piekielne zjednoczyć do walki z kościołem Chrystusa.

w. 358. „w uroczystym przewodzie"=w uroczystym pochodzie.

w. 361. „wódz zbrojny w książęcych gronostajach" — Iwan Federowicz Paskiewicz, rosyjski marszałek polny, mianowany po zdobyciu Warszawy w r. 1830 „księciem Warszawy".

w. 381. „zatrute krążyły zdrowia" — wygłaszano toasty, które treścią swą zatruwały mu duszę.

w. 388. „dreszcz rozwiązał członki" — wyrażenie, przejęte z Homera=ubezwładnił członki.

w. 423. „przepada w framugach" — framuga, zagłębienie w murze, nisza.

w. 453. „w poczet odrzuconych" — pomiędzy odstępców, zdrajców ojczyzny.

w. 505. „słowo przepomnienia" — zapomnienia, przebaczenia.

15